

ODWIEDZINY W BURUNDI

1975

O. BOGUSŁAW WOŹNICKI

SPIS TREŚCI:

1. Kraj, w którym pracujemy.
2. Biskup, J. Ruhuna czeka na misjonarzy.
3. Listy O. Bogusława Woźnickiego z pobytu w Burundi.

KRAJ - W KTÓRYM PRACUJEMY.

Wrażenia z podróży do Burundi.

Burundi, to kraj, o którym w Polsce prawie nikt nie wie, nikt do tej pory nie słyszał. Do roku 1874 na mapach afrykańskich widniała tam biała plama. Dopiero słynne podróże Livingstone'a i Stanley'a uczyniły go sławnym.

W porównaniu z Kongo czy Sudanem, jest bardzo mały, jeden z najmniejszych w Afryce, ale za to najgęściej zaludniony, bo na 1 km² przypada 120 mieszkańców, co, jak na stosunki afrykańskie, jest absolutnym rekordem!

Od wschodu i południa graniczy z Tanzanią, od północy z Rwandą, od zachodu poprzez Jezioro Tanganika z dawniejszym Kongo, a dzisiejszym Zairem. Na 27.834 km² zamieszkuje 3.772 tysiące czarnych i około 3.000 białych. Od roku 1971 ten nieznany dotąd kraj jest nam szczególnie drogi, gdyż pracują tu Ojcowie Karmelici Bosi z Polski.

Założyciel naszej misji w Burundi, o. Leonard Kowalówka, wybrał ten kraj dlatego, że pomimo, iż leży prawie na samym równiku (na 2 stopniu szerokości geograficznej południowej), ma klimat zbliżony do naszego w Polsce oraz w porównaniu z innymi afrykańskimi krajami, gdzie dość często zmieniają się rządy, Burundi do roku 1972 nie przeżywało krwawej rewolucji, chociaż i tu kilkakrotnie zmieniały się rządy, a nawet ustrój, ale o tym niżej.

Tymczasem naszych misjonarzy, na samym wstępie czekała wyjątkowa i ciężka próba misyjnego powołania. Byli świadkami niezwykle straszliwych i krwawych zjść, które wstrząsnęły całym krajem i przeraziły świat! W przeciągu 6 miesięcy zginęło 350.000 niewinnych ludzi, czyli prawie 10% ludności kraju.

Dziś na szczęście panuje tu spokój, tylko w rzekach i jeziorach przybyło krokodyli, gdyż przez szereg miesięcy miały dodatkowy żer... W szkole znowu uczą się razem dzieci Hutu i Tutsi, znowu razem te dwa szczepy, w wigilijną Noc Bożonarodzeniową tańczyły przy ognisku, razem przystępowali Tutsi i Hutu do Komunii Świętej w czasie Pasterki...

Nieufność wzajemna trwa jednak dalej. I trwać chyba będzie dotąd, dopóki 13 - procentowa mniejszość, będzie rządziła 86-procentową większością.

W zasadzie nie przeszkadza to naszej pracy, gdyż katolicy rekrutują się z Tutsi i Hutu, a w katechumenacie są jedni i drudzy, ale trwały pokój na pewno bardziej jeszcze zmobilizowałby naszych misjonarzy do intensywniejszej pracy. Trwały pokój w Burundi może zagwarantować współdziałanie Hutu w rządach kraju, ale na to misjonarze nie mają żadnego wpływu.

Gdzie źródło tego konfliktu?

Rolnicze plemię Hutu, należące do grupy etnicznej Bantu, szeroko rozgałęzionej w Centralnej Afryce w XVI wieku, zostało ujarzmione i opanowane przez Tutsi, pasterzy Etiopii, którzy w poszukiwaniu źródeł Białego Nilu, zatrzymali się w swoich wędrówkach w wyżynnej krainie, między jeziorami Wiktorii, Kivu i Tanganika. Znaleźli tutaj doskonałe warunki hodowli bydła. Są tutaj doskonałe pastwiska i nieznana jest mucha Tse-tse.

Tutsi wytworzyli uprzywilejowaną kastę, czarną arystokrację, Hutu siłą faktu stali się plemieniem lenniczym. W ciągu długich wieków, wzajemne stosunki układały się nie tylko z pozycji siły, zwycięzca i zwyciężony, rządzący i rządzeni, ale także we wzajemnej asymilacji. Tutsi bronili kraj przed napadami ościennych plemion, kojarzyły się międzyplemienne małżeństwa.

Stan spokojnego współżycia trwał do roku 1903. W tym roku Burundi i sąsiadująca z nim Rwanda stały się koloniami niemieckimi. Rządy kolonialne wpłynęły na zmianę struktury gospodarczej krajów podbitych. Źródłem bogactwa stała się przede wszystkim kawa brazylijska, która tutaj po dziś dzień stanowi główne bogactwo kraju. Hodowla bydła straciła na znaczeniu.

Właścicielami plantacji stali się bardziej operatywni Tutsi, Hutu najemnikami, często niemiłosiernie wyzyskiwani przez plantatorów.

Po II wojnie światowej, Burundi, podobnie jak inne kraje afrykańskie, przygotowało się do uzyskania niepodległości. W roku 1957 utworzyło się ugrupowanie polityczne pod hasłem: Jeden Bóg, Jeden Król, Jeden Naród, tzw. Uprona, od początkowych słów francuskich: UNite-PRogres-NAtionale. Założycielem tej partii był syn panującego wówczas króla Mwamabusta IV, Louis Rwangasore, który był bardzo dobrym człowiekiem, katolikiem, absolwentem Sorbony, dobrym ekonomistą, znakomitym politykiem. Pragnął przekonać naród, którym w przyszłości miał rządzić, że w wolnym kraju nie mogą mieć miejsca dawne plemiennych zależności i plemienny wyzysk!

Po uzyskaniu niepodległości w roku 1962, stanął na czele utworzonego przez siebie rządu, dążąc do rozładowania napięć plemiennych przez powołanie do udziału w rządach przedstawicieli Hutu.

Niestety po kilku zaledwie tygodniach od objęcia rządów, zginął zamordowany skrytobójczo z rąk fanatycznie nastawionych Tutsi. Od tego czasu mnożą się zamachy, rząd zmieniał się wielokrotnie. W roku 1966 zdetronizowano króla Mwamabustę IV. Władzę objął jego młodszy syn, brat Louisa, Charles jako Ntare V. Po trzech miesiącach usunął go płk. Micombero, przekształcając Burundi w republikę, a sam ogłosił się Ekscelem Prezydentem! I on usiłował włączyć do rządu przedstawicieli Hutu, co spowodowało niesnaski w łonie rządu. Zdetronizowany Ntare V wyjechał do Europy. W obawie, że zdetronizowany król może działać na szkodę republiki, podstępnie sprowadzono go do kraju (gwarantując nietykalność jego osoby). Ledwo wylądował w Gitega, został zastrzelony. Zamordowanie Ntare V było iskrą do prochu Hutu zbuntowali się i rozpoczęła się wojna domowa, która, jak wspominałem, pochłonęła 250.000 ofiar.

W zbiorowych morderstwach brała udział ludność cywilna. Zaciekłość doszła do tego stopnia, że np. w Bujumbura uczniowie zabijali swoich kolegów, studenci swoich profesorów i kolegów, a nawet chorzy w nielicznych szpitalach ranili się wzajemnie.

W bratobójczej walce zginęła cała ucząca się młodzież z plemienia Hutu, ponad 2.000 katechistów, 7 czarnych kapłanów, 11 lekarzy i jeden jedyny pisarz Yohani Rwanda. Około 50.000 osób przekroczyło granicę Tanzanii i Rwandy, a ponad milion matek, wdów i sierot po zabitych synach, mężach i ojcach cierpi niedostatek, a nawet umiera z głodu. Ci wszyscy potrzebują pomocy. Owszem, można by im pomóc, gdyby nie fakt, że rządząca kasta patrzy krzywym okiem na nas, misjonarzy, którzy powodowani miłością, w miarę naszych skromnych możliwości, śpieszymy z pomocą dzieciom i wdowom po zabitych. Z tego powodu, na rok musiał opuścić kraj o. Klaudiusz, który szczególną opieką otaczał sieroty pomordowanych katechistów w Mpinga. Miała też poważne kłopoty s. Zygmunta, gdyż zatrudniała w ośrodku zdrowia wdowę po zabitym nauczycielu z Musongati.

Na szczęście misjonarz to człowiek, który się łatwo nie zniechęca. Misjonarz to człowiek, który wyznaje zasadę, że nigdy nie jest aż tak dobrze, by nie mogło być lepiej. Misjonarz w pojęciu czarnego brata – to człowiek, który czyni dobrze. A gdy nie może pomóc, to się przynajmniej uśmiecha, bo jak mówi ich burundzkie przysłowie: „mały uśmiech białego ociera wielkie łzy czarnego”! Odrobina dobra, wyświadczona przez misjonarza czarnemu, wywołuje żywy oddźwięk w ich sercach. Sam słyszałem, jak nasi parafianie w Mpinga, obdarowani z okazji świat Bożego

Narodzenia, dziękowali o. Kladiuszowi, prokuratorowi naszej misji, gorącymi słowami jak afrykańskie słońce: Urrakavvarra umupfu – abyś czarownika urodził, biały człowieku!

Wspomniałem wyżej o s. Zygmuncie. To prawdziwa perła naszej misji w Musongati. Mama Kazuba. Siostra Słoneczko. Tak ją wszyscy nazywają, lekko zniekształcając jej nazwisko Kaszuba!

Złożyłem jej osobną wizytę w ośrodku Zdrowia. Czekają na nią około 250 chorych. Trąd, malaria, tyfus, zapalenie okostnej, szkorbut, flegmona, passikar, choroby przewodu pokarmowego, egipskie zapalenie oczu, oto przypadłości przeze mnie dostrzeżone, z którymi cierpliwi pacjenci zwracają się do swojego „Słoneczka”, a to „Słoneczko”, gdy nie może pomóc, to przynajmniej się do nich ślicznie uśmiecha, no, bo uśmiechem Mama Kazuba nie tylko osusza łzy, ale chyba i rany goi!

Szopa nazwana szumnie Ośrodkiem Zdrowia to zwyczajny szałas, ulepiony z niepalonej cegły, przykryty słomą trzcinową. Weranda na eukaliptusowych palach chroni przed prostopadłymi promieniami afrykańskiego słońca. Wewnątrz trzy pomieszczenia. Sala przyjęć, sala zabiegów i dobudówka, wzniesiona rękami pracowitych braci misjonarzy: Marcelego i Sylwestra, zwana szumnie „Maternite”.

Chorzy, którzy nie mogą się pomieścić na werandzie, czekają na rozległym dziedzińcu, który tworzą: urząd gminy, więzienie, ośrodek zdrowia i mały szpitalik, w którym przebywały dwie rodziny, chore na tyfus. Bracia misjonarze zrobili dla chorych łóżka, ale czasem nawet ciężko chorzy wolą leżeć na ubitej glinie, jak na łóżku. Chorzy są na własnym wikcie. Widzę jak ciężko chora matka gotuje pataty, czyli słodkie kartofle, dzieciom i mężowi. Kuchnia na zewnątrz szpitala dymi, ale, że pali się drzewem eukaliptusowym, a nie nawozem zebu, więc da się wytrzymać. Cały dziedziniec jest wysadzony fantastycznie pięknymi drzewami i krzewami. Ponieważ w Burundi jest teraz pora deszczowa, więc wszystkie cudnie kwitną. Żółto i niebiesko – mimozy, bordowo – japońskie róże, które tutaj są tak wielkie, jak nasze przydrożne wierzby. Uroku tym wspinałym kwiatom dodają, umieszczone w ich kielichach kolibry. Nawet eukaliptusy, które nie odznaczają się jakimś wyróżniającym się kwiatem, są ozdobione gniazdami remizów. Zawieszane na ciężkich gałązkach, z daleka wyglądają jak japońskie chryzantemy. Kwitnie kilka gatunków grochowców, o kwiatach podobnych do naszego pachnącego groszku. Na klombach lwie paszcze, werbena różnobarwna i olbrzymie kany.

Nad wejściem do „Maternite” kwitnie ozdobny maniok, czyli płaczący eukaliptus. Jego amarantowe kwiaty, podobne do ludzkich łez, zwisają na wiotkich konarach; są symbolem afrykańskiej niedoli.

Na tle bogatej, afrykańskiej flory, jakże tragicznie wyglądają pacjenci s. Zygmunty, wyciągający zniszczone trądem kikuty rąk, z prośbą o ratunek.

Doprawdy, biedny jest tutejszy człowiek, chociaż Burundi w folderach nosi dumną nazwę: Raj w sercu Afryki, „L' Eden sur coeur d' Afrique”.

Inni znowu, urzeczeni niebywałym i niepowtarzalnym pięknem tego zakątka świata, nazywają Burundi: „Suisse d' Afrique”! – Szwajcaria Afrykańska. Spotkałem się również z powiedzeniem: „Un paradis sur terre” – Raj na ziemi.

Niestety, w tym kraju żyją ludzie raczej smutni, chociaż tak dzieci, jak i starsi ślicznie się do mnie uśmiechają.

Opowiadali mi ojcowie Misjonarze, tak nasi, jak i belgijscy, że ludzi tych cechuje jakiś niewytłumaczalny atawizm. Podobno często da się słyszeć, jak mówią, że jeżeli nie da się poprawić losu, to widocznie Bóg tak chce, a jeżeli Bóg tak chce, to nie ma potrzeby przejmować się i trudzić, bo nasza praca i tak losu naszego nie zmieni.

O. Leonard, w czasie wojny domowej, ostrzegął jednego z nauczycieli, że słyszał, iż jutro mają po niego przyjść, żeby go aresztować i zabić. Radził mu się ukryć, aby przeczekał. Obiecał mu nawet pomóc przeżyć trudne dni. Wówczas usłyszał w odpowiedzi, że widocznie Bóg tak chce, żebym umarł. I nie uciekał. Na drugi dzień żołnierze zabrali go i zabili.

Ludzie żyją również w stałej obawie przed złymi duchami. Boga kochają na swój sposób i mówią: My wiemy, że Bóg jest dobry. Nikomu nie szkodzi, więc nie ma potrzeby modlić się do Niego. Niebezpieczny jest natomiast zły duch. Jemu zatem należy składać dary, by nam nie szkodził. I składają! Z najlepszego mięsa, z dobrego piwa, sorgo, manioku, patatów. A czarownik, jak kot,

przychodzi nocą pod szałas, specjalnie zbudowane na dary ofiarne, zabiera i zjada. Czarni cieszą się, że będą mieli spokój, bo zły duch nie pogardził ofiarą.

Osobny rozdział afrykańskiej nędzy – to kobiety.

Kobieta jest traktowana jak rzecz. Jest przedmiotem handlu między dwoma rodzinami. Należy do mężczyzny, który ją kupił u jej ojca, dając za nią krowę, 4 motyki, 100 papierosów i 50 butelek piwa. Nikt się jej nie pytał, czy tego kogoś kocha, czy jej się podoba! Ale każda dziewczyna marzy o zamążpójściu, chociaż wie, że od dnia ślubu czeka ją udręka, o jakiej tu, w Europie, nie mamy pojęcia. Przełożony naszej misji w Musongati określił małżeństwo czarnej kobiety jako zgodę na nieszczęście posiadania męża, w zamian za szczęście posiadania dzieci!

Władza ojca sięga bardzo daleko. Nie tylko dziewczyna nie może sobie wybrać męża, ale nawet dorosły syn musi pytać ojca o pozwolenie na pojęcie żony, którą zresztą obiera mu ojciec. W Musongati pracuje dwóch czarnych chłopców. Jeden jest już żonaty, drugi, Libertus, jest jeszcze kawalerem. Upatrzył sobie urodziwą dziewczę i poprosił o pożyczkę na kupno działki i budowę domu. O tym wszystkim napisał do swego ojca. Po paru miesiącach ojciec odpisał mu tak: Dom to ty możesz sobie budować, pożyczkę też możesz wziąć, jeśli ci ją dadzą, ale żonę dla ciebie to wybiorę ja. Ja jestem przecież twoim ojcem, a ty moim synem. I biedny Libertus musiał się podporządkować woli ojca, bo chociaż by wziął tę dziewczynę, która mu się podobała, to by rodzina zaszczuła na śmierć niechcianą synową. A sposobów mają wiele.

Dziecko natomiast jest wielkim skarbem. Matka nigdy się z nim nie rozstaje. Idzie z nim po wodę, często parę kilometrów, idzie z nim do kościoła, trzyma je na plecach w czasie ciężkiej pracy na roli. Obija się malec o jej boki w czasie mielenia sorgo. Na pytanie, dlaczego nie ułoży dziecka na ziemi, popatrzyła na mnie tak jakoś dziwnie i powiedziała prawie z wyczuwalnym żalem: Biały człowieku, nie wiesz, co mówisz! Przecież moje maleństwo, złożone na trawie, mogłaby ukąsić jakaś jadowna żmija lub mogłyby pogryźć mrówki ludojady, albo mogłaby mi małpa porwać i do dżungli uprowadzić!...

Bliźnięta jednak są witane bez entuzjazmu. Traktuje się je jako dopust Boży. Paganie nawet jedno zabijają. Dlatego przyjaciołom życzy się: Kamwe – obyś miał po jednym dziecku!

A jednak jest tych dzieci chmara. W każdej rodzinie 8-ro lub 10-ro. Zapytać czarną matkę o liczbę dzieci, najczęściej odpowie: Rodziłam 12 razy, ale żyje mi tylko 10-ro!

Wszystkie dzieci w Burundi są permanentnie głodne. Jedzą dwa razy dziennie. Około 11.00 śniadanie razem z obiadem, na które składa się przeważnie fasola, gotowana na sypko i banany lub jakieś inne owoce, drugi posiłek przyjmują przed zachodem słońca, przeważnie słodkie kartofle lub placki z tapioki. Specjalność burundzkiego stołu, to wędzone termity o smaku naszych szprotek. Czarni chętnie je zjadają, gdyż posiadają dużo białka. Chętnie też nimi częstują gości, tak jak my - mieszanką wedlowską.

Specjał nad specjały to termity w czekoladzie. Ale na takie luksusy mogą sobie tylko nieliczni pozwolić. Termity, plaga afrykańskich domów i drewnianych mostków, w ostatecznym rozrachunku są jednak bardzo przyteczne. Spełniają rolę naszego MPO. Nie pozwalają na psucie się żadnej padliny, którą zostawia po sobie szakal lub hiena. Nie darują nawet nieboszczykom w grobach. Kiedy na wiosnę przygotowywano miejsce pod nowy dom sióstr Karmelitanek, część placu wchodziła na cmentarz w Musongati. Siostry prosiły, by zwłoki ekshumować. Okazało się, że nie ma co ekshumować, gdyż nawet kościom nieboszczyków termity nie darowały. Były tylko szczątki po nieboszczykach!

O pracy misjonarzy napiszę osobno, bo dziś chciałem tylko przedstawić kraj, w którym pracujemy.

O. Bogusław Woźnicki
Sekretarz misji karmelitańskiej

BISKUP RUHUNA CZEKA NA MISJONARZY.

Pod koniec ubiegłego roku (listopad 1974), przez okres dwóch tygodni, przebywał z wizytą w

Polsce ks. bp Joachim Ruhuna z Burundi. Przybył on do naszego kraju bezpośrednio z Rzymu, gdzie jako delegat Konferencji Episkopatu Rwanda – Burundi uczestniczył w pracach Synodu Biskupów. Celem przyjazdu biskupa afrykańskiego do Polski było poznanie ojczyzny misjonarzy, pracujących w jego diecezji (10 Karmelitów Bosych i 4 Karmelitanki Dzieciątka Jezus), nawiązania kontaktów z Kościołem katolickim w Polsce oraz pozyskanie nowych misjonarzy i misjonek.

Ks. bp Ruhuna odwiedził głównie ośrodki misyjne w naszym kraju. Odbył spotkania z kilkoma biskupami oraz alumniami seminariów diecezjalnych i zakonnych, zwłaszcza w klasztorach karmelitańskich, a także z młodzieżą. Wszędzie był przyjmowany z wielką życzliwością i zainteresowaniem. Przemawiając podczas nabożeństw i na zebraniach, biskup z Burundi informował o pracach zakończonego Synodu Biskupów w Rzymie, poruszał problematykę misyjną Czarnego Łądu, a szczególnie swego ubożego kraju.

W ośrodkach karmelitańskich w Wadowicach i w Poznaniu spotkał się z rodzicami grupy misjonarzy, pracujących w Burundi. Goszcząc w zgromadzeniach żeńskich interesował się pracą siostr wśród opuszczonych i ociemniałych, którymi w jego diecezji nie ma się kto dotąd opiekować. Podczas pobytu w Polsce, biskup z Burundi zwiedził także Majdanek i Oświęcim, które wywarły na nim wstrząsające wrażenie. Gościł w Częstochowie i Niepokalanowie. Serdecznie żegnany, wyjechał z zamiarem przekazania swym rodakom wrażeń z Polski. Po powrocie do Burundi, ks. bp Ruhuna, zastał w swym kraju dwóch nowych polskich Karmelitów Bosych.

Fragment przemówienia ks. bp. J. Ruhuny, wygłoszonego w dniu 20.11.1974 r. w kościele Ojców Karmelitów Bosych w Wadowicach.

„Przybyłem tu przede wszystkim po to, aby Wam przekazać serdeczne pozdrowienia od tych misjonarzy, którzy pracują w naszej diecezji. Ośmiu kapłanów, dwóch braci zakonnych, cztery siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus. Wielu z nich to Wasi rodacy: o. Sylwan, o. Eliaz, o. Józef, o. Klaudiusz, o. Teofil, brat Marceli pochodzą przecież stąd. Dlatego chciałem przyjechać tutaj, do Wadowic, aby podziękować ich rodzicom. Niestety, mimo chęci, nie mogę każdej rodziny osobno odwiedzić.

Równocześnie pragnę Wam przekazać najserdeczniejsze pozdrowienia od całego naszego Ludu Bożego w Burundi, z którym przez Waszych misjonarzy jesteście tak bardzo związani. Wyszli od Was i znaleźli się u nas. Już wrosli niejako w swoją nową Ojczyznę...

Burundi, to mały kraj, położony w sercu Afryki. Pierwsi misjonarze przybyli tam w 1898 roku. Dzisiaj, po 75 latach ewangelizacji, już duży procent ludzi jest pozyskany dla Chrystusa. Stało się to dzięki łasce Bożej. Zawsze staramy się Bogu za to podziękować. To szczęście przyszło do nas dzięki misjonarzom, którzy przyszli głosić Dobrą Nowinę. Nasz naród jest więc w dużej mierze pozyskany dla Chrystusa. Mamy wielu ludzi, którzy wierzą, którzy zbierają się, tak jak Wy, na Mszy św. Niestety, mamy za mało księży. Kiedy zostałem biskupem, kiedy odwiedziłem te społeczności wiernych, widziałem tłumy ludzi wierzących i żyjących w jakiejś radości wiary. Ci ludzie wciąż mnie pytali, czy będę mógł posłać do nich księdza. Niestety, u nas mamy jednego księdza na 10 tys. ludności i ten ksiądz w żaden sposób nie może odpowiedzieć na potrzeby wiernych, którzy są bardziej rozproszeni w jego parafii.

Jednocześnie musi się zająć wieloma sprawami: szkolnictwem, szpitalami. Nawet drogi, to także jego zadanie. Ksiądz więc nie może odpowiedzieć na potrzeby ludzi. Wtedy, gdy patrzyłem na tych ludzi, przypominały mi się słowa Chrystusa: „Żniwo wielkie, ale robotników mało.”

Żniwo rzeczywiście jest wielkie, żniwo jest dojrzałe, ale brakuje żeńców i dlatego bardzo proszę, Bracia i Siostry, abyście dalej trwali w modlitwie. Módlcie się, aby Ojciec posłał robotników na żniwa. Módlcie się za wszystkich, ale módlcie się przede wszystkim za tych, których tam widzę tak wielu na chórze kościelnym z Niższego Seminarium. Oni teraz przygotowują się do kapłaństwa. Módlcie się, aby wielu z nich mogło pójść za Chrystusem. Módlcie się o dobre i liczne powołania, aby to Niższe Seminarium mogło ich wychować na dobrych i świątłych kapłanów.

Do Was, młodzi alumni, zwracam się z prośbą, abyście pamiętali o tym, że cały świat, nie tylko Afryka, nie tylko Burundi, potrzebuje wielu dobrych i świątłych kapłanów.

Tę Mszę św. pragnę ofiarować za Was tu zgromadzonych, za Wasze rodziny, za wszystkich bliskich, za wszystkie społeczności w Polsce, za cały Kościół w Polsce, który tak wiele dał mi osobiście. Nie tylko dając misjonarzy, ale przez te dwa tygodnie podróży po kraju tak wiele zyskałem, widząc

wśród Was żywą wiarę, nadzieję, miłość.

Będę prosił Boga, aby to w Was utrwalił. Proszę Was, abyście i Wy nigdy nie zapomnieli o nas”.

Ks. Bp. Joachim Ruhuna

PODRÓŻ DO BURUNDI.

Musongati, 18. 12. 1975

Drodzy Przyjaciele naszej polskiej Misji!

Jestem ogromnie wdzięczny Bogu, że przed śmiercią mogłem zobaczyć Czarny Łąd! Przede wszystkim jednak za to, że widziałem, jak wygląda praca naszych ojców Misjonarzy tak na co dzień, bez szminki, bez koturnów, nie w białym habicie, ale w roboczym kombinezonie. Znałem ich pracę z listów. Wiedziałem, że jest ciężka, niewdzięczna. Ale nie przypuszczałem, że zaraz pierwszego dnia pobytu w Burundi zakosztuję misjonarskiego trudu, albo inaczej jeszcze, zostaną sprowadzony z obłoków na ziemię, a raczej w afrykańskie błotko.

Ale nie sprzedajmy faktów!

Droga do Burundi prowadziła z Warszawy przez Brukselę, gdzie trzeba było się starać o wizę do Burundi, gdyż w Polsce nie ma przedstawiciela dyplomatycznego tego kraju. Tam okazało się, że trzeba przejść dodatkowe szczepienia przeciw żółtej febrze i czarnej ospie (w Warszawie szczepiono mnie, ale przeciw cholerze i malarii). Potem via Rzym, Ateny, Nairobi, Entabe do Bujumbura. Na lotnisku oczekiwał nas o. Sylwan i ks. bp. Joachim Ruhuna.

Śliczny, słoneczny dzień. Pomimo, że była godzina 6.15 było już bardzo gorąco. Bujumbura przedstawiła się z najlepszej strony. Aleje wysadzone araukarią, przed zamożniejszymi willami Europejczyków rosły podobne do pawich ogonów palmy-ravenale. Różowo, niebiesko i żółto kwitły mimozy. Inne znów ulice zdobiły chińskie róże, takie jak w Polsce hodujemy w doniczkach, wysokie jak nasze jabłonie. Różowe kwiaty dodatkowo zdobiły złociste kolibry, wydzielające nektar z tych pysznych kielichów. Kwitną tropikalne jaśminy o niezwykle silnym zapachu i zwisających, jak u płaczącej wierzby, gałązkach. Kwitną również orchidee, pyszni się „gloriosa auperba”(nomen omen), tam znów „striga asiatica” i misterna „kniphofia”. Feria kolorów i gama zapachów. W dali „morze Burundi”, Jezioro Tanganika.

Po nieprzespanej nocy, (pomimo, że stewardessa podkładała poduszkę pod głowę) oczy jednak się kleją. Z radością witam misyjny hotel, gdzie dostaję pokój. Kąpiel i kładę się spać. Przed spaniem czytam jednak instrukcję, wywieszoną w pokoju. O której obiad, o której kolacja, kiedy Msza św. Najwięcej zaciekał mnie passus tej instrukcji, gdzie dyrekcja hotelu prosi, by każdy, kto układa się do snu, zobaczył, czy nie ma pod poduszką skorpiona, węża lub żmij pod łóżkiem. Sprawdzam. Nie ma żadnych nieproszonych gości. Acha, dalej mówi instrukcja, że gdy będę się ubierał, powinienem zobaczyć, czy do buta, w poszukiwaniu ciepła, nie zakradła się żmija. Zapuszczam moskitiery, bo słyszę jak brzęczą te miłe stworzonka i zasypiam. Niedługo, bo do pracy przyszli czarni. Czarny, gdy pracuje, śpiewa. Potem będę miał sposobność przekonać się, że czarni są bardzo muzykalni. Sami improwizują teksty i komponują melodie. Czasem za tekst wystarcza jedno słowo, byle dosyć dźwięczne i fonetyczne. Tu, w Bujumburze, wystarczyło słowo „Witamina”. Myślałem, że to jakieś święte słowo i pytałem później misjonarzy, co ono oznacza. Nic nie oznacza. Jest tylko piękne fonetycznie i dobrze się śpiewa. I tak chyba ponad 1000 razy na różne melodie, w różnych intonacjach pracownicy misji te słówka wyśpiewywali. Oczywiście, że o spaniu nie było mowy, bo moskity brzęczały, a czarni śpiewali. Szczękały również psy, które pilnują garażu.

O 12.00 Anioł Pański i obiad. Pierwszy w Afryce. Z niedowierzaniem patrzyłem na dania, nie było nic podejrzanego. Do picia „amadzi” woda – deszczowa. Innej w Afryce nie ma, przynajmniej

tu, w Burundi. Na pierwsze danie zupa jarzynowa. Jakie to były jarzyny, nie wiem. Trochę podobne do pietruszki, trochę do selera, ale smaczne. Drugie danie: amaszczu i ybiraya, czyli młoda kapusta i młode kartofle, które jedzą tylko biali. Czarnym nie smakują. Do tego jakieś mięso. Co to było, nie wiem, może mała, może wąż lub królik. W każdym razie smakowało mi bardzo. Potem kompot z mango, owoce do wyboru. Ananasy, pomarańcze, mango, banany, vacatio i passiflora pieczona. Owoców obecnie w Afryce zatrzesienie. Taka polska klęska urodzaju. Jest to okres dojrzewania bananów, mango, papai, więc witaminy nie brakuje!

O. Sylwan nagli do wyjazdu, chociaż ja zdradzam ochotę przejechania się po stolicy. Kiedy indziej, innym razem. Dziś przed nami 200 km drogi górskiej, ale okazuje się, że siedem godzin to mało! Pierwsze 100 km, to asfalt. Dobre mostki. Budował tę szosę polski inżynier. Ale potem zaczyna się droga przez busz: pełna wyboi, wąskie, drewniane mostki. Słońce schowało się za chmury, błyskawice przecięły niebo. Odezwał się przeciągły grzmot i zaczęła się burza tropikalna. Deszcz zmienił się w ulewę, ulewa w potop. Kurtyna wody przed maską samochodu była tak gęsta, że na jeden metr nie było nic widać. Leśna droga gdzieś znikła! Była tylko przed nami górka rzeka, mętna, czerwoną wodę tocząca! Strumyki zmieniły się w rwące rzeki. Stać nie można, gdyż potem nie wiadomo, czy samochód ruszy. Jedziemy powoli. W pewnym momencie milczący o. Sylwan mówi do mnie: „Niech ojciec się pomodli, to tu jest miejsce, gdzie dwa tygodnie temu spadł z nasypu o. Teofil.” Pomodliłem się. I może dlatego jeszcze ten list piszę. Jedziemy dalej. Znowu odzywa się o. Sylwan: „Niech ojciec wyjdzie z szoferki i zobaczy, czy na tej rzece jest jeszcze most.” Co było robić, trzeba wyjść, skoro mi się zachciało Afryki! Szukałem w mętnej wodzie. Jest, chociaż wierzchem płynie rzeka. Staję na środku, by kierowca mógł naprowadzić toyotę na most. Naprowadził. Przejechał. W pewnym momencie czujemy, że koła buksują, a samochód zsuwa się w głęboki parów. Każda dalsza próba grozi wywrotką. Wychodzimy z szoferki. O. Sylwan bierze saperkę, łopatę i wygrzebuje błoto spod kół, a mnie wręcza tępą siekierę i prosi, bym naścinał w buszu gałęzi i wyłożył 30 metrów szosy, bo inaczej - tu już czuję, że zaczyna mnie szantażować – będziemy nocować w buszu. Nasi misjonarze zawsze wożą ze sobą siekierę, łopatę, piłę, bo wiele razy zdarzyło się, że trzeba było sobie budować most, jeśli nie chciało się nocować w stepie. Deszcz na szczęście trochę zelżał, ale wystarczyło, bym zmókł dosłownie do suchej nitki. Ścinam nawet małe drzewka, byle prędszej, ale wciąż myślę, że co to będzie, jak piorun zamiast w eukaliptus, grzmotnie w moją siekierę. Po wyłożeniu zielenią szosy, obciążam dodatkowo tylne koła i samochód powoli posuwa się w górę.

- Chwała Bogu, że się nic nie stało – mówi z filuternym uśmiechem o. Sylwan.

- A co się mogło stać? – pytam z niepokojem.

- Widzi ojciec - mówi dalej mój kierowca – tu, w tej dolinie, w ubiegłym tygodniu lew zjadł kilkunastu Murzynów. Leczy ich teraz s. Zygmunta!

- To teraz dopiero o tym ojciec mówi?

- Nie chciałem przedwcześnie straszyć, bo inaczej nie wyszedłby ojciec z auta!

Pewnie, że bym nie wyszedł, ale pomimo to zrobiło mi się zimno na myśl, jak łatwo można tu, w Burundi, zginać śmiercią misjonarza!

Ojciec Sylwan, widząc moją niewyraźną minę, bawi się moim przerażeniem i ciągnie dalej:

- Tu były trzy lwy, jeden został wczoraj zabity, więc może pozostałe dwa przeniosły się pod naszą misję.

Jeszcze kilka kilometrów i widzimy zabudowania w eukaliptusowym lasku.

- To mieszkanie Sióstr Karmelitanek – objaśnia o. Sylwan. Siostry, posłyszawszy samochód, wybiegły na nasze spotkanie. Nie zatrzymaliśmy się jednak zbyt długo, bo byliśmy bez Mszy św., a 500 m dalej była nasza misja, gdzie z kolei oczekiwał nas o. Jan Kanty, przełożony misji w Musongati, o. Józef, którego niedawno żegnałem w Poznaniu i brat Marceli, nasz inżynier, budowniczy! Po przebraniu się w suche habity - Msza święta, a po Mszy, kolacja i długa, długa rozmowa z braćmi.

Oprócz ojców Misjonarzy na misji mieszkają dwaj czarni pracownicy: Libertus i Salwator. Gotują na zmianę. Ten tydzień miał dyżur Libertus. Młody chłopak, bardzo spokojny, ogromnie cierpliwy i niczym się nieprzejmujący. W czasie kolacji dałem mu termos, by mi przygotował na noc gorącej herbaty, gdyż brały mnie dreszcze i musiałem zażyć arechin przeciw malarii. Po chwili przychodzi,

przynosi dwa kawałki termosu, stawia na stole i wypowiada tylko jedno słowo w kirundi; IRAPFUJE! Pytam się, co to znaczy, a o. Jan mówi: „zdechł”, czyli rozbił się. Powiedział to tak pięknie, że prosiłem Ojca Przełożonego, by nie krzyczał na biednego Libertusa!

Dziś z racji naszego przyjazdu, agregat pracował dłużej, więc długo w noc mieliśmy światło.

Pilnie przeglądałem gościnny pokój, czy nie ukryła się gdzieś żmija lub skorpion, albo stepowy wąż. Ale nic nie znalazłem. Na wszelki wypadek zatkałem otwór zlewu, (bo umywalki są bez syfonów) żeby jakiś gad nie przedostał się do mnie. Spałem bardzo smacznie. Śniła mi się tylko moja niedawno zmarła Matka, która widocznie czuwa nad swoim ukochanym synkiem!

Acha, jeszcze na dobranoc o. Jan powiedział nam w języku kirundi: „Rara hadyana”. Nie chciał przetłumaczyć na polski, ale o. Józef powiedział mi, że tak żegnają na noc swoich przyjaciół tu, w Burundi. A znaczy to: „Idź spać i niech cię pchły gryzą.”

Wobec tego i naszym Przyjaciołom w Polsce tego samego życzę.

o. Bogusław Woźnicki
Sekretarz misji

Musongati, 19. 12. 1975 r.

Kochani Przyjaciele Naszej Misji w Burundi!

Nasz dom w Musongati jest nowy. Brakuje jeszcze przysłowiowej kropki nad „i”. Okna niepomalowane, nieukończone sufity, które robi się tutaj z mat bananowych. Jest to oszczędność materiałów budowlanych, które tutaj, w Burundi, są bardzo drogie. Nic dziwnego. Wszystko z importu. I cement, i wapno, i stal zbrojeniowa, i eternit, i blacha.

Tym również wytłumaczyłem sobie brak instrukcji w gościnnych pokojach, takiej instrukcji, jaką widziałem w misyjnym hotelu w Bujumbura. Niemniej jednak, niby stary wyga misyjny, pomny na instrukcję z Bujumbura, pilnie przeglądam łóżko, czy nie ma w nim jakiegoś nieproszonego współlokatora, jak żmija lub skorpion. Potem zobaczyłem, czy okno zamknięte, potem zaglądam pod łóżko. Nie było nic. Przewornie zakorkowałem otwór w umywalce. Była bez syfonu, więc mógłby się wśliznąć jakiś mały wąż albo chytra żmija. Zmówiłem krótki pacierz i ułożyłem się wygodnie na dmuchanym materacu, w nadziei, że niebawem wpadnę w objęcia Orfeusza. Ale jak tu zasnąć, kiedy pomyślę, że wczoraj o tym czasie byłem jeszcze w Rzymie, potem w Atenach, a dziś kładę się do snu po drugiej stronie równika, pod 2 stopniem szerokości geograficznej – południowej!

Misja nasza jest otoczona lasem eukaliptusowym. Drzewa eukaliptusowe mają liście, jakby z pergaminu, więc krople deszczu odbijają się o nie, jak o blachę. Jak wspomniałem wyżej, w misyjnych domach nie ma sufitów. Od dachu oddziela mata, wpleciona z bananowej kory. Słychać oddalający się grzmot. Może przestanie padać – pocieszam się w duchu.

O 21.00 zgasło światło. Szkoda ropy, po którą trzeba jechać 200 km. Ile to trzeba zużyć paliwa po tych drogach, no i silnik, wytwarzający energię elektryczną, na mydlinach nie pojedzie!

Noc. Pierwsza podrównikowa noc. Nad słuchuję, czy nie usłyszę stękania lwa lub pomruku lamparta, albo, co najmniej nawoływania się szakali lub hien. Cisza. Zasnąłem. Nie wiem, jak długo spałem, gdy poczułem, że coś zimnego i śliskiego spadło mi na twarz!

Jezus Maryja! Pomyślałem sobie – żmija. Zapalek nie mam, latarka podręczna wypaliła się w walizce w samolocie, a w nocy wołać ratunku, to trochę i wstyd. Co o mnie (byłem żołnierzem AK), pomyślą młodzi ode mnie bracia – misjonarze. Wyszedłem jednak z łóżka, otworzyłem drzwi na korytarz, w nadziei, że żmija pójdzie sobie do innego pokoju, może gdzieś bliżej kuchni...

Zmęczenie przemogło strach i zasnąłem ponownie. Nie na długo. Znowu coś gramoli się na łóżko i mruczy jak młody lampart. Na szczęście był to misyjny kot, a że między innymi, dlatego jest

zatrudniony w misji, by płoszył zmije, więc już spokojnie, mając takiego stróża zasnąłem, tym razem do rana.

Wczoraj słyszałem, że tu, w Burundi, są fantastyczne wschody i zachody słońca, więc, chociaż jeszcze kleiły się oczy, wyskoczyłem z łóżka i pobiegłem na werandę. Deszcz przestał padać. Niebo czyste, w powietrzu ani jednego pyłku, na horyzoncie różowi się zorza poranna. Nagle, jakby ktoś rozbił gigantycznych rozmiarów kryształowy puchar, zza góry wytrysnęły w niebo żółto-różowe promienie, a po chwili, jak ognista raca, wytoczyło się uśmiechnięte słońce. Stało się to wszystko tak szybko, tak niespodziewanie, że nie trwało ani 5 minut, a już mieliśmy pełny dzień.

Stałem urzeczony! Odniosłem wrażenie, że jakiś mocarz, ukryty za górami wystrzelił z procy słoneczna kulę! Araukarie, sekwoje, eukaliptusy, mimozy lśniły wieloma kropelkami rosy, a każda z tych kropelek rozszczepiała słoneczne promienie na tęcze kolory. Zdawało mi się, że drzewa są podświetlone, jak fontanny w Tivoli!...

Akacje, drzewa orchideowe, melonowce, papaje i drzewa mangowe, tworzące jakby drugie piętro, pyszniły się i oddziały od reszty zieleni delikatnym seledynem...

Wysokie, jak polskie wierzby, róże japońskie są pełne życia, bo niemal w każdym kielichu kwiatu, jakby zawieszono na nylonowej nitce, trzepoczą się fantastycznie upierzone kolibry. Począwszy od ciemnego fioleto, który mieni się w słońcu różnymi odcieniami, poprzez pomarańczowo-czerwone, cytrynowo-granatowe i zielono-żółte. Spijają nektar, zapylając te wspaniałe kwiaty. Na rozłożystym eukaliptusie założyły kolonię żółte remizy. Na długich gałązkach wiją misterne gniazda. Wygląda to jak popis artystów cyrkowych na trapezie.

Wokół misji świeżo założony ogród. Warzywny i kwiatowy. Brat Marceli, inżynier i budowniczy, okazuje się być dobrym ogrodnikiem. Podziwiam plantację ananasów, które rosną jak w Polsce kalarepa. Potrzebują trochę więcej wilgoci i dlatego osłania się trzciniową słomą korzenie, by słońce nie wysuszało gleby. Opoдал widzę słodki groszek. Rośnie wysoko i daje duże strąki. Jest to przysmak tutejszych owocożernych nietoperzy. Trzeba przed nimi o wieczornej porze, zabezpieczyć plantację, nakrywając całe poletko folią (dobrze, że brat Marceli nie wie, że słodki groszek jest i moim przysmakiem). Widzę czerwone buraczki, sałatę, marchewkę, pietruszkę, kalafiory, fasolkę szparagową, która rośnie z jednego siewu już trzeci rok i ustawicznie owocuje, dużo afrykańskich pomidorów, mniejszych jak nasze europejskie, ale smaczniejszych. Owocują poziomki, maliny dojrzewają. Wszystko to rośnie radośnie, szybko dojrzewa, bo ciepło i mamy teraz porę deszczową, massikę, jak mówią czarni. Podziwiam uroczą marchewkę. Czarny kucharz wyrywa ją właśnie na obiad. Czyni to z pewnym obrzydzeniem, jakby zdechłego szczura ciągnął za ogon! Co też ci biali nie wymyślą. Marchewkę sadzą na nawozie! Fe! A potem ją jedzą. Niby to przestrzegają zasad higieny, pięć razy dziennie myją ręce, aż zgroza, ile marnują wody, a marchewkę jedzą! Tak tutaj mówią o naszych misjonarzach! Kto to widział - brudzić ziemię nawozami. Nawóz jest od tego, żeby nim palić, gdy drzewa zabraknie, i gotować maniok i fasolę, ewentualnie może służyć do zalepienia dziurawego garnka na mleko, ale nie wolno nim zanieczyszczać ziemi!

Tak samo czarni są zdziwieni, że biali jedzą kurze jajka! Kto to widział? Kury chowają, owszem, ale na rosół. Pytam, dlaczego nie jedzą jaj i słyszę odpowiedź, że może byśmy jedli, gdyby kury jajka dziobem znosiły, ale... no wiadomo...

Chociaż mamy ranne godziny, słońce praży niemiłosiernie. Ubieram biały habit, tropikalny kapelusz i wychodzę w step. O. Jan Kanty nakazuje zjeść śniadanie, bo w Afryce obowiązuje zasada: Jedz, jeżeli nie chcesz, by cię zjadła Afryka! Poleca mi również, bym nie schodził ze ścieżki, bo w trawie łatwo można spotkać węża. Odnosnie węży, to poprzedniego dnia do ośrodka zdrowia czarni przyprowadzili bardzo zbitego człowieka. S. Zygmunta pyta, kto go tak mocno pobił. A on mówi, że napadł go boa – dusiciel. Zaczął wołać o ratunek. Nadlecieli czarni i bijąc pałkami węża, jego samego nie oszczędzili. „Coś mi się dostało! Ale tego szatana tośmy zabili!” Oprócz krwawych ran miał połamane żebra.

O. Jan Kanty przestrzegają mnie również, bym, broń Boże, nie zbliżał się do pomarańczy stepowej. Jest to niewielka roślina o przykrym zapachu, ale posiada niezwykle piękne owoce, bardzo podobne do pomarańczy. Wewnątrz tych owoców są lśniące pestki w czerwonym miąższu, które są przysmakiem węży. Tak samo niebezpieczne jest typowo afrykańskie drzewo o

baldaszkowatej koronie, zwane kapara, bo spadające owoce tego krzewu chętnie zjadają węże. Okazuje się zatem, że misjonarz, chcąc swobodnie poruszać się po buszu, musi być trochę zoologiem, i botanikiem i ornitologiem!

Nie wolno również siadać, nawet na kamieniu, nie mówiąc już o trawie. Z mrówkami nie ma żartów. Są jadowite. Można również spotkać kleszcze stepowe, których ukłucia pieką gorzej od pokrzywy, nie mówiąc już o pchełkach piaskowych. Jaszczurki salamandry są człowiekowi przyjazne. Na ogół żyje się z nimi zgodnie. W domkach misyjnych można spotkać je spacerujące po suficie. I właśnie tej nocy, ta jaszczurka, jak się okazało, spadła mi na twarz. Może się nawet więcej ode mnie przestraszyła, bo leżała schowana pod ciepłym kocem!

Po drodze spotkałem chłopców, spieszących do szkoły. Można się z nimi rozmówić po francusku. Ten język jest obowiązkowy w szkole podstawowej, gdyż Burundi była kiedyś kolonią belgijską. Są zdumieni, że biały - a w ich języku mówić nie potrafi! Wszyscy jednak pozdrawiają mnie: Bga keye. Ja już zdążyłem się dowiedzieć, że trzeba odpowiedzieć: A nedza. Dobrze. Z kolei ja pytam: A ma hora! Co nowego? A oni znów: A nedza. Dzieci trzeba spytać: witwa nde? (Jak się nazywasz?) Jeżeli chodzi o imiona, pisałem już, że mają śliczne. Anastazja, Antonija, Domicella, Jolanta. Takie imiona noszą abakobwa – dziewczynki. Umugabo – chłopcy, również chwalą się, że nazywają się Libertus, Salwator, Kasjano itd.

Ponieważ czuję, że moja znajomość kirundi już się ma ku końcowi, powiadam: nd'umushitsi. Sinzi ikirundi! - Nie znam kirundi. Jestem gościem! W odpowiedzi słyszę AAA!!! miły uśmiech i idę dalej. Żal mi ich. Są nędznie odziani, albo i nie odziani. Częstuję słodyczami, polskimi landrynkami, które są dla nich ogromnym przysmakiem. Pewnie, skoro na odpuszcie zamiast cukierków, małe Murzyniątka kupują od kramarza po kawałku trzciny cukrowej! Daję medaliki – koniecznie z agrafką, bo agrafka przedstawia dla nich większą wartość, niż srebrny medalik i znając przysłowie burundzkie: Intuga rya cane rituma amaro, uśmiecham się do nich serdecznie, bo to przysłowie, przełożone na polskie tak brzmi: Mały uśmiech ociera wielkie łzy!

Uśmiechałbym się do czarnych braci całymi dniami, gdybym mógł choć małą łezkę z ich oczu otrzeć.

Tymczasem pozdrawiam najserdeczniej i błędy proszę poprawić, gdyż piszę bez słownika i na „czysto”.

Bogusław Woźnicki

Musongati, 20. 12. 1975 r.

Ulubiona książka mojej młodości, to „W pustyni i w puszczy”! Fantastyczne przygody młodego Polaka, fascynujące opisy fauny i flory, barwne wschody i zachody słońca, grozą przejmująca burza tropikalna, egzotyczne drzewa, jak baobab „Kraków”, lwy, lamparty, jadowite węże, słoń King. To wszystko młodzieńczą fantazję napełniało podziwem, zachwytem, lękiem i ciekawością. Może i to w pewnej mierze było przyczyną, że marzyłem o tym, by zostać misjonarzem. Może moje pragnienie było tak silne, że złożyłem nawet ślub, że przy pierwszej nadarzającej się okazji udam się na misję! Chciałem być Bratem – misjonarzem, by mieć siostrę Teresę od Dz. Jezus. Jestem przeto Bogu ogromnie wdzięczny, że choć w części spełnił moje marzenie i dziecięce sny. Jestem misjonarzem, a nawet coś więcej. Jakby nie było, jestem „Dyrektorem” misji karmelitańskiej w Afryce. I w wielkiej mierze, dzięki tej okoliczności, mogłem skonfrontować fantastyczną powieść z prozą codziennego życia!

Z taką dżunglą, jaką widział Sienkiewicz, nie spotkałem się w czasie mej podróży. Niemniej jednak, miałem dużo sposobności, by oglądać relikty dżungli nad Jeziorem Tanganika, oraz widziałem w wiosennej krasie rozkwitły afrykański busz. Widziałem słynne baobaby z małym chlebem, wyniosłe eukaliptusy, afrykańskie sosny o długich, bo 20 centymetrowych szpilkach, paprocie wysokie jak wierzby, płaczące eukaliptusy, liliowce i pióropusze palm kokosowych, palmy

studnie, palmy daktylowe, drzewa mangowe, papaje, papirusy, bambusy, poinsecje i wiele innych, których nazwy nie znam i zapamiętać nie zdołam.

Busz! Tyle się o nim słyszy. Myślałem, że to trawa, tak wysoka, że może się w niej schować jeździec na koniu, a tymczasem to całe połączenie nieużytków, porośniętych trawą, gorszą od naszej tatrzańskiej psianki! Trawa tak licha, że wiecznie głodne afrykańskie krasule nie chcą jej szczypać. Jedzą, bo jedzą, ale bez entuzjazmu, z jakim nasze krówki raczą się na pegeerowskich łąkach i pastwiskach! Spodziewałem się również, że co krok spotkam słynne antylopy, gazy, zebry lub żyrafy (o lwach nie wspominałem, bo z nimi to raczej nie pragnąłem się spotkać), a spotkałem zaledwie kleszcze w trawie, jadowite mrówki, jakieś liszki spadające z drzew, które w zetknięciu z ludzką skórą powodują egzemę, i jeden jedyny raz, cywetę, który zaczął na mnie zęby szczyrzyć. Węża jadowitego widziałem, ale nieżywego, boa dusiciela zjedli czarni, nim przyjechałem do Mpinga. Wysokie trawy spotkałem dopiero po kilku dniach. To osty. Mają około 2 m wysokości, a pień gruby, jak nasze jabłunki. Kwitną prześlicznie. Różowy kwiat przypomina naszą lewkoję. Pełno trzmieli, bo osty te posiadają dużo nektaru.

Prawdziwą ozdobą tutejszej sawanny jest Ijenda, czyli kniphofia, niezwykle piękny, o wyszukanych kształtach kwiat w złoto-zielonym odcieniu, który potem przechodzi w kolor bordowy. Subtelny zapach długo zachowuje świeżość. W Polsce udaje się tylko w szklarniach. Widziałem kiedyś we Wrocławiu ślubny bukiet w ręku młodej panny, z tych egzotycznych kwiatów.

Tam, gdzie trawa jest niska spotkać można cudowne, amarantowe, drobne kwiaty. Czarni nazywają ten kwiat striga. Aż oczy bolą od tej żywej czerwieni. Miejscowa ludność używa tych kwiatów do farbowania białego płótna na kolor czerwony. Dawniej tylko król mógł używać tego koloru. Nawet Pismo św. wspomina o tym kolorze, kiedy mówi, że chociażby grzechy nasze były jak szkarłat czerwone, nad śnieg wybieleją.

Tam, gdzie jest więcej wilgoci, czyli gdzie busz przechodzi w dżunglę, można spotkać prawdziwą ozdobę afrykańskich stepów, „pysznokwiat” – Gloriosa Superbe to botaniczna nazwa tego prawdziwego kwiatu. Zakwita w początkach pory deszczowej. Na jednym pnączu posiada różnorodne kwiaty. Jedne lekko seledynowe, inne żółte, różowo-czerwone i purpurowo-fioletowe. Coś fantastycznego! Długo stałem nad tym dziwem natury, oczu po prostu oderwać nie mogłem, oczarowany urokiem tej rośliny. Czar prysnął wówczas, kiedy dowiedziałem się, że roślina ta, pomimo swej krasoty, jest trująca. Zawiera kolchicynę, którą czarni zatrują strzałami.

Do bardzo oryginalnych kwiatów zalicza się „Stapeliya”. Z daleka wygląda ten kwiat jak zagubiona czerwona kokarda dziewczęca. Stapeliya posiada jednak woń zdechłego kota. Kłaczka tego dziwnego kwiatu są podobne do szczotki z kaktusa!

Każdy jednak krzew, i trujący modliszek, i tropikalny rozchodnik, i dziurawiec afrykański, i wiele innych, których nazw nie znam, odznaczają się intensywnym zapachem. Łodygi i liście tych krzewów i ziół są powleczone cienką warstwą wosku, przeciw zbyt szybkiemu odparowaniu.

W buszu czuje się dobrze mimoza. Jest jej wiele gatunków. Różnią się nie tylko układem liści, ile przede wszystkim kolorem kwiatów. Pośród nich najciekawszą jest mimoza wstydliva. Nie tylko jej niebieskie kwiaty, niby bańki szklane są ciekawe, ile raczej liście, które pod wpływem dotyku ludzkich rąk więdną, by po paru minutach wrócić do normalnego położenia. Jedną z najciekawszych roślin, jakie w życiu widziałem.

Co druga z traw i roślin są toksyczne, kozy i krowy z daleka omijają te pułapki, które nieraz apetycznie wyglądają. Trujący jest również atrofant. Roślina - liana, z których nasion wyrabia się lek nasercowy. Od tysiąca lat tubylcy używają wywaru z tego kwiatu do zatrucia strzał. Trafione zwierzę, nie wyłączając lwa ani słonia, po paru minutach ginie. Kwiat atrofantu jest podobny do kwiatu naszej forsycji.

Pamiętką po ludożercach jest psianka ludożerców, którą praojcowie obecnych mieszkańców przyprowadzili kotlety z białego człowieka. Dziś czarni z łezką w oku pokazują tę roślinę, jakby chcieli wypowiedzieć: psianka rośnie, a białego mięsa nie ma! Nie wolno! W tubylczym języku to ziele nazywa się pomidor zjadaczy białych ludzi! Nie powiem, też pięknie!

Nad podziw jest tu dużo pszczół, które, jak u nas w lipcu, uwijają się, przelatując z floksów na werbenę, z werbeny na jaskry, z jaskrów na stepowe stokrocie i dzikie rumiany. Gdyby nie wciąż grożące niebezpieczeństwo spotkania węża lub żmii, nieprędko wyszedłbym z tego egzotycznego

ogrodu. Wracając na misję, przechodzę koło ogrodu Brata Marceliego. Oglądam słodki groszek „Te nietoperze zaczynają się europeizować. Dotychczas zjadały groszek wraz ze strączkami, a teraz wyłuskują. Leży tutaj dużo pustych strąków.” „Ciekawe, rzeczywiście ciekawe” – odpowiadam, i bardzo udaję zdziwionego. Wiadomo, na złodzieju czapka gore! Podziwiam ogrodowe gerbery. Są trochę mniejsze jak ze szklarni, ale za to mają intensywniejsze barwy. Pięknie kwitną róże, dalekie poznańskie, nasturcje, begonie bulwiaste. Opoдал misji dzieci szkolne sadzą las. Jest sobota, a w każdą sobotę wszyscy czarni muszą odpracować 6 godzin dla dobra kraju. Las misyjny to oczko w głowie naszych misjonarzy. Wszystkie misje są otoczone lasami. W kraju, gdzie nie ma kopalń węgla, drzewo służy za opał, jeśli nie chce się korzystać z suszonego nawozu zebu.

Drzewem szybko rosnącym jest eukaliptus. Lubi miejsce wilgotne, ale mimo to zadomowił się tutaj, chociaż Burundi zalicza się do krajów o małej ilości opadów. Brak wilgoci powoduje niezwykle intensywny rozrost korzeni. I dlatego dba o to, by gałęziami osłonić ziemię koło pnia, jak to czynią inne typowo afrykańskie drzewa. Pod eukaliptusem nie znajdziesz cienia. Nie strąca nigdy liści, ale zmienia korę. W lesie eukaliptusowym widać całe stosy suchej kory. Czarni nie chcą jej palić, wolą ścinać świeże drzewa. Liście pociągnięte są jakby srebrną emalią, żeby słońce nie wyparowywało wilgoci. W słońcu przyjemnie pachnie. I pnie i liście. Wyschnięty pali się jak daglezwja, dając wiele żaru i wonny dym.

Idziemy piękną aleją. Tu klasztor Siostr Karmelitanek jeszcze w budowie. Brat Marceli obsadza go sizalem i mirtowcami oraz jałowcem tropikalnym. Gdy wyrosną ani lew nie dostanie się do ogrodu! Piękna statua Matki Boskiej strzeże nowego domku. Rosną wokoło cokołu portulaki, begonie i inne jeszcze kwiaty, których nazwy nie pamiętam.

Praca przy budowie idzie śpiewająco. Brat Marceli chodzi z lornetką, to znak, że dogląda dwóch grup pracujących. Gdy się czarni przekonali, że ich widzi z odległości kilometra, od tego czasu wystarczy nawet, że przejdzie się z futerałem od lornetki, a czarni myślą, że ich nie tylko widzi, ale i słyszy, ale nawet ich myśli odgaduje!

Pisząc, że praca przy budowie idzie śpiewająco, nie mam na myśli rezultatów pracy, od tego jest brat – inżynier, ale przy pracy czarni naprawdę śpiewają. Jedna grupa produkuje piasek. Kilku tłucze duże kamienie na mniejsze, drobniejsze, te drobniejsze następnie mielą w specjalnym młynku. Piasku w Musongati brak. Jest w jeziorze Tanganika, ale to 200 km od domu.

S. Zenobia sprząta kościół. Pytam, dlaczego posadzka taka wilgotna, a ona uśmiecha się i mówi: „Dzieci miały religię. Ale to nic. Przyniosę jeszcze parę wiader wody z piaskiem i pachły afrykańskie do reszty się wytopią.”

Szkółka misyjna, szopa – bez okien. Otwory okienne, z obawy przed małpami, zasłonięte pustakami. Ławek brak. Dzieci siedzą na belkach. Dla pana nauczyciela jest jednak prawdziwe krzesło i stół.

Nauczyciel wita się z nami serdecznie. Zna francuski, możemy zatem się porozumieć. Gdy się dowiedział, że przyjechałem z Polski, pokazuje mi z zaszczytem zeszyty szkolne, dar Polaków dla czarnych uczniów. W ubiegłym roku wysłałem te zeszyty, długopisy z Poznania. Dziękuje razem z dziećmi.

O. Przełożony proponuje odwiedzić S. Zygmunta w ośrodku zdrowia. To niedaleko, ale jedziemy samochodem. Dochodzi 12.00 godzina. O tej porze trudno stać, a cóż dopiero iść parę kilometrów, nawet, gdy droga prowadzi w dolinę.

Jedziemy zatem samochodem. Jako osobliwość, pokazuje nam jedyne drzewo na przestrzeni kilometra, w które wjechała s. Zenobia. Rzeczywiście, trzeba było ogromnej sztuki, by akurat w to jedyne drzewo wjechać, ale tak to bywa z początkującymi kierowcami! „A tak się bałam, żeby tylko w drzewo nie wjechać!” Odpowiada dzielna S. Misjonarka. Dzielna Misjonarka lepiej jak kierownicę opanowała „kirundi” i już nawet w niedzielę i święta homilię w tym języku głosi.

Misjonarze oprócz kościoła parafialnego przy głównym domu, obsługują w tygodniu kościółki filialne. Każdy z ojców ma obowiązek spędzić trzy dni w miesiącu w takim kościółku. Słucha spowiedzi, zaopatruje zawsze chorych, chrzci, egzaminuje katechumenów. Mieszka sam w maleńkim domku, sam gotuje na maleńkiej kuchence. Opowiadał mi o. Klaudiusz, że czasem to i strach ogarnia. Gdy nadejdzie noc, ani światła, ani radia. Dobrze, gdy nie pada deszcz, ale w czasie

pory deszczowej często się zdarza, że kilka razy w ciągu nocy trzeba zmieniać miejsce w chatce, bo łóżko zalewają potoki wody. Raz przykrył się arkuszem blachy, ale okazało się, że blacha była dziurawa, więc przeniósł się do samochodu. W samochodzie było gorąco, otworzył lufcik, ale na to czekały moskity i tak na całą noc miał zajęcie. Siostry Misjonarki pomagają ojcom w niedzielę. Wybierają się na takie niedzielne wędrówki z Panem Jezusem na sercu i z kijem w rękę. Tam wygłaszają homilię, rozdają Komunię Świętą. Idą czasem 10-15 km. Na co kij? Na wypadek spotkania z wężem, które lubią wygrzewać się na słońcu pośrodku drogi!.

Szumnie nazwany Ośrodek Zdrowia składa się właściwie z czterech szop. Są zbudowane z suszonej cegły. W jednym „pawilonie” S. Zygmunta urządziła salę przyjęć. Poczekałnia niepotrzebna. Pacjenci stoją na dworze. Dziś jest ich stosunkowo mało, około 250. W inne dni bywa więcej. Każdy z pacjentów trzyma karteczkę z numerem. Czarny pomocnik odczytuje te numery, bo większość to analfabeci. Są trzy rodzaje kart, czerwone, białe i zielone. Czerwone mają ci, którzy przyszli tutaj po raz pierwszy, zielone to druga wizyta, białe są zapisane. Siostra Zygmunta notuje na nich przebieg choroby i stosowane leki. Po każdą pastylkę pacjent musi przyjść do ośrodka, bo zdarzyły się wypadki, że całą dawkę aspiryny zażył na jeden raz, albo rozdał wszystkim członkom rodziny!

W drugim pawilonie mieści się izba porodowa, sala zabiegowa i sala operacyjna. S. Zygmunte nazywają tutejsi ludzie „Mama Kazuba”, Siostra Słoneczko! Bo tak odczytali jej nazwisko „Kaszuba”. Ta nazwa pasuje jak ulał! Dla każdego czarnego jest słońkiem! Uśmiecha się jak słońko. I zdaje mi się, że ten uśmiech jest więcej wart niż penicylina, którą częstuje pomocnica S. Zygmunty, czarna jak heban Tereska. Komu siostra Zygmunta zaordynuje zastrzyk, na tego czeka czarna Tereska, w białym fartuchu i śnieżnym czepeczku. Nie pomogą żadne lamenty. Zdaje mi się, że miała i na mnie ochotę wypróbować swe zdolności, ale jej wytłumaczyłem, że już w Warszawie i Brukseli byłem kilkakrotnie kluty, więc tylko uśmiechnęła się, przyznać muszę, ogromnie mile. Widocznie i tego nauczyła ją s. Zygmunta.

Trzeci pawilon to szpital. Brat Sylwester zafundował drewniane łóżka ciężko chorym, ale czarni wolą leżeć na betonie, jak na łózkach. „Widno przywykły”, jak napisał Wańkowicz.

Ojciec, matka i czworo dzieci. Mimo wysokiej temperatury, matka podnosi się z ziemi i dla reszty rodziny gotuje w szpitalnej kuchni jedzenie. Tu, w Burundi, każdy chory jest na własnym wikcie. Gotuje „bataty”, czyli słodkie kartofle. Druga izba to „sala aseptyczna”, jak eufenistycznie nazwała s. Zygmunta tę część „pawilonu”. W trzeciej izbie leżą poszarpani przez lwa, który kilka dni temu zjadł 7 czarnych, a około 20 poranił. Dziw bierze, jak rany pod wpływem penicyliny szybko się goją.... A penicylina była przedawniona! Na dworze pomocnicy szpitalni, „salowi”, posypują azotoksem koce i sienniki.

Drugi kompleks zabudowań zajmuje miejscowy urząd gminy. Składamy wizytę burmistrzowi. Nie zna języka francuskiego, ale s. Zygmunta jest naszym tłumaczem. Obok pracuje jego sekretarz, pisze na maszynie! Czarni, ze złożonymi, jak do modlitwy rękami, z nabożeństwem obserwują jego czynności! Mniej dziwiliby się, gdyby bez skrzydeł latał. Jaki on uczony! Toteż z większym szacunkiem myślą o nim, niż o burmistrzu, który tylko pieczętki umie przybijać. Żegniam się z nimi w języku kirundii: „Maga saga”. Do widzenia. Nauczyła mnie tej formy s. Zygmunta.

Obok budynku gminnego – więzienie. Na szczęście puste, gdyż Święta Bożego Narodzenia tuż, tuż. Zazwyczaj więzienie jest zawsze przepełnione. Siostra Zygmunta często słyszy jęki katowanych. Tutaj również burmistrz przesłuchiwał ludożercę, który od szeregu lat żywił się tylko ludzkim mięsem. Był bez miłosierdzia katowany. Siostra potajemnie dostarczyła mu środków znieczulających, gdyż nie mogła już słuchać ryku torturowanego. Jakby nie był człowiekiem! Przed Świętami wywieziono go do Bujumbura na stracenie, gdyż zasądzono go na śmierć. Zapewne dla oszczędności, rzucono go na pożarcie krokodylom do Kivuvu lub do jeziora Tanganika.

Patrzę na pacjentów s. Zygmunty. Mimo woli przypominają mi się obozowi muzułmanie. Większość straszliwie wychudzonych, zwłaszcza dzieci, chore na tzw. passikę. Niektórych może da się uratować. Między chorymi są trędowaci, jest tyfus brzuszny, ropiejące rany. To byli pacjenci czarowników. Nacinają skórę chorym zardzewiałym nożem, i później musi leczyć to s. Zygmunta. Połowę mniej miałyby chorych, gdyby czarownicy przestali leczyć – informuje siostra!

Plac, na którym czekają chorzy jest wysadzony ślicznymi drzewami. Różowo, biało i żółto kwitną

wysokie oleandry, niebieskie, czerwone i fioletowe - tropikalne akacje, pyszną się w pełnej krasie japońskie róże. Drzewa orchidei cudnie pachną. Dalej - jadalna opuncja, tak pokryta żółtym kwieciami, że wygląda, jakby ją motyle obsiadły! Kwitnie werbena, na metr wysokie lwie paszczki, a między tymi kwiatami snują się chorzy, okryci ranami. Jakiż ogromny kontrast! Tu bogactwo afrykańskiej flory, tam skrajne ubóstwo, nędza, więczej, dno ludzkiej nędzy.

Prawie przemocą zabieramy s. Zygmunte na obiad. Jesteśmy głodni, ona też. Ale jej żal zostawić chorych, którzy szli do niej dwa lub nawet trzy! Nam jednak żal siostry, która ledwie trzyma się na nogach. Niedawno wstała po ciężkiej chorobie! Gdyby takich „Słoneczek” było kilka w Burundi, można by wiele dobrego zrobić tym biednym ludziom. Może Bóg natchnie jakąś Siostrę w Polsce, niekoniecznie Karmelitankę, że stanie się drugim „Słoneczkiem” w Burundi!

Jesteśmy dzisiaj w gościnie sióstr Misjonarek. Pogodna Góraleczka, s. Juliana, zachęca nas do jedzenia. „Mięso dzisiaj będzie na pewno miękkie. Gotowałam kilka godzin, ale na wszelki wypadek kazałam Murzynowi naostrzyć noże.

- Jutro zapraszam na pieczone psy afrykańskie!”

Zrobiłem okropną minę i powiadam: „Siostro, psinę to jadłem w obozie!”

„Tu nie jest obóz, tu jest Afryka.” – odpowiada.

Widząc moją dezaprobację uspokaja mnie, tłumacząc, że to psy afrykańskie, fruujące psy, a właściwie to nawet nie psy, tylko owocożerne nietoperze. Te, które zjadają słodki groszek bratu Marcelemu. Ich mięso jest bardzo dobre, bardzo dobre. Rzeczywiście, było bardzo dobre, przypominało pieczone kurczaki. Te fruujące psy są okazałe, metr rozpiętości skrzydeł. Dziwny kraj, ta Afryka, gdzie psy fruują i gdzie przysmakiem są nietoperze!

S. Ogrodniczka, kochana S. Bogumiła, przyniosła na deser wspaniałe ananasy i małe, ale wyborne w smaku banany. I piwo afrykańskie. Piłem, bo zapewniały, że to ich wyrób. Było smaczne. Tak jakby ktoś rozpuścił krochmal i dodał do niego odrobinę kwasu cytrynowego!

Kochane te nasze Siostry Misjonarki. Nie tylko znają, ale w praktyce stosują śliczne przysłowie murzyńskie: „Ucha na igitero stera umushiko”. Chcesz mieć przyjaciół w domu, sam będziesz czasem głodny!

Myślę, że jednak siostry po moim odjeździe nie były głodne, bo ja znam inne burundzkie przysłowie, które powiada: „Isurakabiy, umusihitsi ira kabirai” – Dobre odwiedziny nie trwają dłużej jak dwa dni. A były jeden dzień.

Najserdeczniej pozdrawiam i do miłego zobaczenia w następnym liście.

Bogusław Woźnicki

Musongati, 21. 12. 1975

Kochani Przyjaciele naszej Misji!

Dziś w Polsce mamy najdłuższą noc przy najkrótszym dniu. Tu, w Burundi, słońko regularnie wschodzi o 6.00, by schować się za góry o 18.00. I tak jest przez cały rok!

Jest cudowny, słoneczny dzień, chociaż w nocy deszcz mocno padał. Były błyskawice, pioruny, to zwyczajna rzecz w porze deszczowej! Po Mszy św. wyjeżdżam z o. Józefem do Kibuke, do filialnego kościoła. Ciekawy jestem, jak taki kościół może wyglądać, czy może być uboższy od parafialnego w Musongati? Okazuje się, że tak!

Wóz, którym mamy jechać nie budzi zaufania. Taki samochód - „cyklop”, bo jeden reflektor stracił w zderzeniu z gazelą, ma pognieciony błotnik, źle zamykające się drzwi, rozbita boczna szyba, ale poza tym jest całkiem dobry. Na afrykańskie drogi, aż za dobry! Rzeczywiście, w sprawnej ręce młodego misjonarza, stary wóz mknie bezszelestnie jak lampart.

Razem z nami jedzie również jeden z katechistów, będzie przewodniczył w zgromadzeniu wiernych. Ja, niestety, mogę się tylko przypatrywać ich pracy i obserwować pobożność czarnych braci.

Katechista nazywa się Saturnin. Jako premię za wzorowe życie rodzinne i za dobre wyniki w nauczaniu dostał wczoraj piękną jesionkę. Długą po kostki. Wybrał sobie również ciepły szalik i czapkę uszatkę. Oczywiście dzisiaj już, nie czekając Świąt, ubrał się i gdy tak wystrojony wyszedł z auta, słyszałem przeciągłe aaa, którym czarni wyrażają zachwyty! Na pewno jego autorytet wzrósł o 100%, tym bardziej, że dotychczas chodził boso, a wczoraj razem z darami otrzymał buty. Pół dnia uczył się w nich chodzić, trzymając się stołu. Ale za to teraz paradował wokół kościoła. Buciki były wprawdzie trochę ciasne, więc tam, gdzie go uwierały, powykrawał duże dziury!

O. Józef zasiadł do konfesjonału. Kolejka była duża, a ja korzystając z praw gościa oraz z tego, że nie rozumiem kirundi poszedłem się rozglądać w terenie.

Kościół rzeczywiście uboższy od parafialnego w Musongati. Na centralnej ścianie duży, prosty krzyż. Mensa z cegły, ubożuchne tabernakulum, dwa krzesła zamiast ławek - belki eukaliptusowe. Konfesjonał – zawieszona mata z włókien bananowca. Otwory okienne założone pustakami, wyglądają jak witraże ażurowe. Dach mocno przecieka, bo widzę kałużę wody. Paramenty liturgiczne każdorazowo przynosi ze sobą misjonarz. Gdy zatrzymuje się dłużej, przywozi również pościel. Obok domu misjonarza kuchenka, gdzie gotuje sobie jedzenie. Czasem to musi obejść się i smakiem, bo zdarza się, że gdy on jest zajęty w kościele, złożą mu wizytę małpy i zjedzą jego obiad. Tym razem małp nie było.

Wokół kościoła - kiermasz przedświąteczny! Czego tutaj nie ma! Można np. kupić nową żyłkę, którą stary Murzyn golił się dwa lata, można dostać pakiet waty higroskopijnej, nici, gwoździe, mydło z małym tłuszczem, groch, fasolę, bataty, sorgo, mąkę maniokową, perkalowe szmatki, ananasy, banany. Młody Murzyn sprzedaje po kawałku trzcinę cukrową, którą kupują małe Murzyniátka, jak nasze dzieci toffi, oraz specjał nad specjały, na który mogą sobie pozwolić najbogatsi: „termity w czekoladzie”! Wokół kościoła dorodny las eukaliptusowy, w którym pasą się wielkoroogie, afrykańskie krowy oraz czarne jak diabełki burundzkie kozy. Obok kościoła – szkoła misyjna, katechumenat i ośrodek socjalny. Ponieważ dzisiaj niedziela, kózki wesoło buszują po klasach i widzę, jak niektóre raczą się pozostawionymi podręcznikami do języka francuskiego!

Za eukaliptusowym gajem rośnie las szpilkowy. Dorodne pinie afrykańskie o długich szpilkach, smukłe seye, mirtowce, drzewa bukszpanowe i wiele innych, których nazwać nie potrafię. Zwarte lasy, to raczej rzadkość w Burundi. Czarni nie szanują drzew. Widzę otarte z kory mirtowce. Robią z niej ule dla pszczół. Nacinają korę wokół pnia i zdejmują w całości. Teraz wystarczy poprowadzić podłużny szew sizalową nicią oraz zrobić dwa dekielki i ul gotowy. Taki ul zawieszają na drzewie. Tutejsze pszczoły są bardzo kąśliwe, ale czarni bartnicy mają na nie sposób. Jeżeli się spodziewają, że ul jest pełny, spuszcza ją w nocy na ziemię, a pusty wieszają na jego miejsce na drzewie. Rano wszystkie pszczoły, razem z matką, przenoszą się do tego na drzewie, a pełny ul staje się łupem pszczelarza.

Miód afrykański jest niezwykle smaczny, bardzo aromatyczny i leczniczy.

W lesie spotkałem kilkoro dzieci. Podarowałem im po medaliku z agrafką, bo agrafka tutaj to prawdziwy skarb. Służy jako broszka, a jednocześnie jest potrzebna do oczyszczania skóry z afrykańskich pcheł, o których już pisałem, że nie gryzą, jak nasze pocziwe, europejskie, ale składają larwy pod paznokciami u nóg, co powoduje ropienie i rozmaite zakażenia, kończące się często utratą palców.

Od natrętnych Murzynów uwolnił mnie dopiero ingoma, święty tam – tam, wzywający wiernych na Mszę św. Dziś dopiero miałem sposobność słyszeć, jak czarni śpiewają. Muszę przyznać, że cudownie. Są ogromnie muzykalni. Zamiast organów- ingoma. Szczególnie uroczysty moment to chwila, gdy odzywa się tzw. tam – tam Ntare – Królewski. Milkną wówczas nawet rozplakane dzieci! Wszystkim się zdaje, że do świątyni wchodzi Król królów. Do Komunii Św. przystępuje cały kościół. Ponad 1000 wiernych. Pomagam: „Umubiri wa Kristu” – Oto Ciało Chrystusa. To moje pierwsze liturgiczne słowa, którymi posługuję się jako misjonarz!

Po Mszy św. o. Józef jeszcze raz zasiada do konfesjonału. Wszyscy chcą być bez grzechów w dniu Bożego Narodzenia. Ja natomiast wybieram się w busz. Wabią mnie egzotyczne głosy afrykańskich

ptaków. Są niezwykle pięknie upierzone, ale w przeciwieństwie do Murzynów - śpiewaki z nich marne! Jakiś duży ptak, bardzo podobny do tukana, śpiewa tak, jakby przedrzeźniał płaczące niemowlę. Inny znów naśladuje zalecającego się kocura. Ptak wielkości naszego kosa, ale ubarwiony jak dzięcioł pstrokaty, popisuje się krótkim hejnałem, złożonym z trzech następujących po sobie tonów, G – E – C. Początkowo myślałem, że to chłopiec na okarynie wygrywa te trzy tony! I tak wciąż G, mała tercja w dół i seksta w górę! Proszę sprawdzić na muzycznym instrumencie, że wcale piękna melodia.

Spotkałem również niewielkiego ptaszka, podobnego do naszego szpaka w szacie godowej. Czarne, aż fioletowe pióra błyszczą w słońcu, jak stal w oliwie hartowana! Główka w kilku kolorach, krawat jak u Zetempowca, a pióra lotek i ogon błyszczą jak brylanty. Mimo woli to ptaszę przypomina mi strojną krakowiankę!

Żółto kwitnące mimozy obsiadły afrykańskie sójki o lazurowym upierzeniu. Szkoda, że nie jestem ornitologiem, bo wiele gatunków nie potrafię nazwać. Na ogół wszystkie ptaki są mało płochliwe, nawet pantarki, które tutaj żyją dziko.

Z ssaków napotkałem tylko cyweta. Większy, jak największy europejski kot, ale trochę mniejszy od psa, niższy przede wszystkim. Na mój widok pochwalił się garniturem urodziwych zębów. Na szczęście nie zechciał ich wypróbować na białym mięsie. Zaczepiony, broni się groźniejszymi od ostrych zębów pazurami.

Po skończonej Mszy św. wracamy do Musongati. Po obiedzie o. Jan Kanty proponuje wycieczkę do Kur Imana Yoku Gizodzi, czyli do Ołtarza Kamiennego boga. Droga ogromnie wyboista i bardzo niebezpieczna. Wąska i zawieszona nad przepaściami. O. Jan Kanty prowadzi wóz z wielką brawurą, tak, że czasem zdaje mi się, że wylądujemy nie przy Ołtarzu kamiennego boga, ale w skalistym wąwozie.

Jest bardzo gorąco, mnie jednak jest naprawdę zimno. Kierowca, widząc moją przerażoną minę, pyta:

- Boi się ojciec?

- Oczywiście!

Myślę sobie: Być rozszarpanym przez lwa lub zjedzonym przez ludożercę (nawet bez sałaty), to śmierć godna misjonarza, ale zginąć w wypadku samochodowym to mogłem i w Polsce. I niepotrzebnie po taką śmierć jechałem 9000 km!

Nie zginąłem jednak, bo skończyła się przejezdna droga i ostatnie kilometry trzeba było przejść pieszo.

Nad głęboką przepaścią stoi wysoka skała. Ze skały - fantastyczny widok. Uroczysko wymarzone na spotkanie z imanem! Przed skałą jakby kamienny ołtarz. Drogi do niego usłane trawą, żeby sobie kamienny bóg stóp nie poranił! Trawa, ołtarz i skała są polane bananowym piwem i zalatuje od nich zapachem, jakby z kuchennego zlewu. Na skale widnieją czerepy naczyń i puste tykwy. Tu schodzą się w pewne dni poganie i na cześć imana Yoku wylewają odrobinę piwa na ołtarz, część na skałę, a potem można pić do utraty przytomności. Czarni lubią piwo. Przychodzą nawet chrześcijanie. Potem biedacy oskarżają się ponoć przy konfesjonale, że „pili diabelskie piwo”!

Wracając do Musongati, spotykamy pannę Domicellę, katechistkę w naszej parafii. Ma nie tylko piękne, rzymskie imię, ale piękniejsze chyba nazwisko: Bywa Yesu – Jestem Jezusa! Zaprasza nas do siebie. Korzystamy z tego, bo na ogół czarni niechętnie przyjmują białych w inzu. Domicella ma sześć sióstr i ani jednego brata. Ojciec siedmiu córek ma prawo opuścić dotychczasową żonę i znaleźć taką, która by mu urodziła syna. Ale ojciec Domicelli jest prawdziwym katolikiem. Nie korzystał ze zwyczajowego prawa. Dwie siostry Domicelli wyszły za mąż. Czy ona sama dostanie męża – nie wiadomo. W wojnie domowej zginęło ponad 100.000 młodych chłopców. O. Jan chciał zrobić radość maluchom i zabrał ich samochodem. Chyba dwudziestu. My idziemy piechotą. Po drodze zrywam wężową pomarańczę i kosztuję. Jest okropna w smaku. Wszyscy się śmieją z mego łakomstwa, nawet Domicella.

Po drodze staruszki proszą o spowiedź. Mają daleko do kościoła. O. Teofil jest z nami, więc spowiada. Ale i oto dom Domicelli. Przed domem podwórze, gdzie na noc zapędma się krowy. Dobrze trzeba się schylić, by wejść do wnętrza inzu. Wchodzimy. I tu pierwsza niespodzianka. W głównym pomieszczeniu inzu - dwa cielątka. Mama katechistki przynosi kokosową matę i kładzie

nam pod nogi. Podaje dwa zydunki i zaczyna się rozmowa. Domicella i jej siostry, mama i goście, siadają koło cielątka. Cielątko raz po raz liże to Domicellę, to mamę, to gości. Wielkie muchy siadają na mojej łysinie. Domicella nie zna francuskiego, więc konwersację prowadzimy przez tłumacza, którym był o. Teofil. Kątem oka zerkam do drugiej izby. Na środku ognisko, wokół niego na ziemi trochę siana. Kilka kuchennych sprzętów i żelazna skrzynia na sukienki pięciu pań. Domek wyraźnie chyli się ku upadkowi. Stary ojciec nie może nadażyć z naprawą, a pannom, choćby umiały to zrobić, nie wypada się zajmować robotą mężczyzny. To tak, jakby w Polsce chłopiec robił serwetki na drutach.

Żywność przechowują w specjalnym spichlerzu, który początkowo wziętem za ule. Świąteczne stroje leżą w żelaznych skrzyniach. Bataty najlepiej konserwują się pod koszykiem, banany na drzewach. Sorgo, fasola, suszony maniok to podstawowe artykuły żywnościowe.

Cała rodzina otrzymuje srebrne medaliki na srebrnym łańcuszku, ale da się wyczuć, że większą radość sprawiłaby im piękna agrafka. W samochodzie Murzyniątka natrzęsły pcheł, więc sporo kłopotu. Po drodze wstępujemy do Sióstr Karmelitanek. Wysoki ostrokół, który ma chronić nasze siostry przed lwami jest wysadzony urodziwymi słonecznikami. Prawdziwe drzewa słonecznikowe, na 3 metry wysokie. Na każdym drzewie około 30 dużych kwiatów. Myślę sobie o jednej osobce z Warszawy, a właściwie z Sewerynowa 8, która oddałaby królestwo za jedną pełną tarczę słonecznika. Ta miałaby tu raj. Kto wie, czy by jej nawet smakowały ananasy! Okazuje się, że amatorów na słoneczniki nie trzeba szukać w Sewerynowie. Są w Burundi. Ptaszki – podobne do naszych trznadli, są tak łakome, że padają łupem kota z naszej misji, który jak przystało na dobrze wychowanego dżentelmena, w domu bawi się z papużkami Brata Marcelego, a na ptaszki poluje na posesji Sióstr Karmelitanek.

Ze strachem myślę o kolacji, bo wczoraj s. Julianna zapowiadała psinę o smaku młodych kurczaków. Są tylko kurczaki (może tego s. Julianna czytać nie będzie!) bez żadnego smaku!

Przed zachodem słońca kończę brewiarz i po kolacji cała brać misjonarska wychodzi w busz na wieczorny różaniec. Cudowna oprawa, niepowtarzalna sceneria naszej wieczornej modlitwy! Księżyc wypłynął na czyste, bez żadnej chmurki, niebo. Widoczność jest tak wspaniała, że Mpinga, odległa od nas o 10 km, wydaje mi się być tuż – za doliną. Nad kościołem jaśnieje w całej wspaniałości tajemniczy Krzyż Południa! Przez Mleczną Drogę przewija się inna konstelacja: Okręt Argonautów, bardziej na południe widoczny jest Centaur, a poza linią Koziorożca – Rajski Ptak! Widzę również odwrócony Pas Oriona. A więc Afryka Południowa to nie tylko cudowna tropikalna flora, egzotyczna fauna, ale i na nieboskłonie nowe światy, iskrzące się hen, daleko, w bezmiarze granatowego nieba. Aż jakiś niewytłumaczalny lęk ogarnia człowieka, czy nie za daleko przyjechał, czy ja to z ziemi jeszcze oglądam, czy też może z zaświatów!

Nocą step intensywnie pachnie. Pachnie i śpiewa. Jest pełen śpiewających świerszczy. Ich śpiew podobny jest do świergotu naszych błękitnych sikorek. W tym wieczornym koncercie pomagają świerszczom polne koniki i ptaki – czuwajki. Nie jest to nazwa ornitologiczna, tylko ich śpiewanie wciąż się powtarza harcerskim: Czuwaj, czuwaj, czuwaj!

Z daleka dolatuje zapach orchideowego drzewa, a z doliny, aż zbyt intensywna woń storczyków. Pachnie również akacja, pachną mimozy i stepowe kwiaty, bo to teraz wszystko na potęgę kwitnie. Roje robaczków świętojańskich, jak iskry sztucznych ogni, przelatują nad nami. Nasz różaniec włączamy w powszechną modlitwę rozmodlonego stepu i mrugających na firmamencie niebios gwiazd...

Przypomina mi się polska kolęda, która opisuje piękno betlejemskiej nocy:

„Cicho wszędzie, śpi świat cały cichym snem ujęty,
a na niebie gwiazdy grały hymn dla Boga święty!”

Niemniej piękna jest i równikowa noc.

Na misji zastajemy śpiącego Sabę. Dlatego może o. Jan Kanty długo chodzi po ogrodzie, bo zna miejscowe przysłowie, które powiada, że „jak pies śpi w budzie, to pan musi siedzieć pod drzewem” – Izotanye ziarambana imiyota! Afrykańskie fruwające psy znowu przyszły na słodki groszek!

List powyższy piszę przy świecy, a ponieważ świeca się kończy, więc i ja również kończę i serdecznie pozdrawiam wszystkich Przyjaciół karmelitańskiej misji w całej Polsce.

Musongati, Boże Narodzenie 1975

Wigilia pod Krzyżem Południa

To słowo wzrusza i czasem wspomnień przemawia do duszy!

Wigilia!

Barwy przez cały rok wyblakłe - ożywiają się, myśli, uczucia zapomniane budzą się w promiennych blaskach wigilijnych. Ludzkie serce improwizuje pieśń miłości i wzywa wszystkich do stajenki betlejemskiej!

Wigilia!

Ileż to już razy, w rozmaitych miejscach, niezwykłych okolicznościach zasiadałem przy wigilijnym stole!

Pamiętam pierwszą, tę najdawniejszą wigilię, w miesiąc po śmierci mego Ojca. Zginął w Dolomitach jako strzelec alpejski. Pamiętam, było wówczas dużo śniegu i wiele łez mojej matki... Ja nie płakałem. Za mały byłem. Nie potrafiłem ocenić ogromu straty ani łez Matki!

Pamiętam i następną. Późną jesienią spłonął rodzinny dom. Ocalała kamienna podmurówka, która przed pożarem służyła za oborę. I w tej stajence, razem z bydłętami obchodziłem moją drugą wigilię.

Potem były wigilie u obcych ludzi. od najwcześniejszej młodości musiałem ciężko pracować na własne utrzymanie. Po wielu, wielu latach była pierwsza wigilia w Karmelu – długi czas najpiękniejsza w życiu.

W drugim roku kapłaństwa pamiętam wigilię w szpitalu. Parę dni przed wigilią zostałem zawrócony z połowy drogi do wieczności.

W roku 1944 była wigilia, której nigdy nie zapomnę. Wigilia skazańca. Wigilia na Bloku Śmierci. W Auschwitz. Niepowtarzalna. Jedyna. Wszystko przemawiało za tym, że ostatnia w życiu.

Bóg chciał inaczej. Po tej, która według wszelkich obliczeń miała być ostatnią, było szereg innych. Między innymi i ta pod Krzyżem Południa, w Burundi, pod drugim stopniem szerokości geograficznej – południowej.

W nocy poprzedzającej wigilię, mieliśmy burzę tropikalną. W jednym z poprzednich listów opisywałem burzę w ciągu dnia. Ta nocna, w swojej grozie, była tak urzekająca, że odważyłem się wyjść na werandę domu. Wiatru nie było. Wydawało mi się, że stoję w Arce Noego, że razem z tymi strumieniami wody popłynę do pobliskiego „wadi”, gdzie teraz szumiał groźny potok. Strugom deszczu towarzyszyły gwałtowne wyładowania atmosferyczne. Miałem wrażenie, że na tę burzę gromadzono w obłokach energię elektryczną co najmniej 10 lat!

Czarne niebo przecinały raz po raz błyskawice, we wszystkich kolorach świata: fioletowe i białe, purpurowe i zielone, żółte i czerwone, pomarańczowe i seledynowe. Trwało tak długo, że mimo woli nasuwały się słowa św. Szczepana: „Videp coelos apertos! Widzę niebiosą otwarte!”

Nieustanny grzmot przypominał huraganowy ogień artylerii, przygotowujący przełamanie frontu!

Było już dobrze po północy, kiedy wróciłem do swego pokoju. Ochłodziło się znacznie. Nie brzęczały zatem uprzykrzone moskity, nie fruwały również, wielkie jak europejskie wróble, afrykańskie ćmy.

Spałem długo. Po przebudzeniu się zastałem ranek tak piękny, że gdyby nie kałuże wody wokół misji, można by sądzić, że nocna burza była tylko snem!

Dzień, jak na Afrykę chłodny, bo tylko 24 stopni C, ale może dlatego właśnie ten afrykański grudzień przypominał mi polski maj. Maj i Zielone Świątki. Miary dopełniły kukułki i przedziwne, jakby w języku „kirundi” śpiew tutejszych ptaków. Tylko z gęstwiny dolatywało polskie „psiakrew, psiakrew” afrykańskich perliczek.

Była w tym wszystkim jakaś nieopisana radość. Radość z poranku, ze słońca, z życia i swobody, z jutrzejszego Świąta.

Po Mszy – nauka miejscowego języka. Pasterka będzie w „kirundi”.

Na misji wyczuwa się świąteczny nastrój. Brat Marcelli, nasz inżynier-budowniczy wypłaca murarzy i pracowników wykańczających domek sióstr misjonarek. Będzie to najpiękniejszy dom Karmelitanek Dzieciątka Jezus. Nawet Balice mu nie dorównują! O. Józef wykorzystuje fakt, że w nocy spadł obfity deszcz i razem z ministrantami sadzą las. Nie łatwo przyjmują się tutejsze drzewka. Nasionka umieszcza się w plastikowych torebkach, a gdy już sadzonka nadaje się do rozsady, razem z torebką wykopuje się ze szkółki, lekko nacina bok torebki, tak, że drzewko „nie wie”, że zostało przesadzone i przyjmuje się. Sposób dość kosztowny, ale jedyny. O. Jan Kanty, przełożony misji w Musongati – wykańcza sprawy kancelaryjne, bo jutro biuro parafialne nie będzie czynne.

Salwator sprząta korytarze, salę zebrań, jadalnię. Po południu spodziewamy się gości. Zjedzie tutaj cała Mpinga i przyjdą Siostry Misjonarki. Libertus przygotowuje specjały na wieczerzę wigilijną. Wolę nie wiedzieć, jak on to robi i skąd bierze wodę do gotowania: z beczki, gdzie pływają urodziwe dżdżownice, czy też z wodociągu. Raczej z beczki, bo prędzej się nabierze, a na tę z wodociągu trzeba trochę poczekać, aż się wiaderko napełni. S. Zygmunta po wiele razy zwracała mu uwagę, że ta z beczki jest do zaprawy murarskiej, a z wodociągu na zupe, ale mu się zawsze myli! No, nic dziwnego, jest zakochany. Po świątach szykuje się u nas wesele.

W kościele praca wre. Posadzki nie trzeba myć. Przeciwnie, trzeba wynosić nadmiar wody z nocy, bo dach trzciny jest już nieuszczelny. Od deszczu zarysowała się niebezpiecznie ściana w prezbiterium z malowidłem brata Sylwestra. S. Zenobia przygotowuje szopkę. Porostów i mchu w Burundi nie brakuje. Wybrała najpiękniejsze gatunki, więc szopka, mimo woli, przypomina góralską, gontami kryta chatę.

Przełożona domu, S. Zygmunta, ma wolny dzień. Pisze listy. Za stół służy skrzynia. Stołu się jeszcze nie dorobiła. Krzesła także nie ma. Siedzi na eukaliptusowym pieńku. Nie powiem, żeby to było wygodnie, ale jej wina. Prawdziwe krzesło - dar naszej misji, zaniósł do ośrodka zdrowia, „żeby ciężko chorzy mogli sobie wygodnie usiąść”.

Parę lat temu widziałem porą zimową napisy w Insbrucku: „Alles fur Winterrapart” – wszystko dla zimowych sportów. Ona mogłaby wywiesić tabliczkę: „Alles fur Kranken!” Wszystek czas, wszystkie siły, spoczynek, posiłek, nawet noc. Wszystko! Oby Ci, Kochana Siostró, tych sił starczyło na długie lata!

S. Julianna w wielkiej tajemnicy przygotowuje jakieś polskie dania na wieczerzę. A więc do kuchni „Eintritt verboten!” A do tego jeszcze na mnie „zła”, że nie przywiozłem maku na strudel. Nie pomogła ani „wedłowska mieszanka”, ani prawdziwy „oscypek”. Nie pomógł nawet – wielki jak arkusz kancelaryjnego papieru – śnieżnobiały opłatek. „Po co to ojciec przyjechał, skoro maku nie przywiózł”.

S. Bogumiła zaangażowała uczennice ze szkoły gospodarczej do sadzenia kwiatów wokół statuy Matki Bożej. Klasztorzek jeszcze nie wykończony, ale od paru tygodni na wyniosłym cokole na klasztornym wzgórzu dominuje posąg Królowej Karmelu. Uśmiechają się do Niej rozkwitłe niezapominajki, wielobarwne gerbery, urodziwe stokrocie, portulaki, bratki i inne jeszcze kwiaty.

Koło południa zaczęli ściągać pierwsi parafianie. To ci z najbardziej odległych zakątków naszej parafii. Niektórzy szli dwa dni. Są przepięknie ubrani. Nie tylko dziewczęta i kobiety, ale nawet poważni mężowie i młodzieńcy przywdziali na siebie narodowe stroje. Fantastyczne kolory. Na tle seledynowego, bananowego lasku wyglądają jak maki i bławaty z zielonej pszenicy. Mężczyźni palą fajki, kobiety i dziewczęta poszły w busz zbierać trawę. Potrzeba jej dużo. W nocy po Pasterce będą spać w salach szkolnych i w katechumenacie, na tej właśnie trawie. Chłopcy zbierają drzewo. Przed północą będzie rozpalone olbrzymie ognisko. Wszyscy przynieśli ze sobą w ananasowych liściach odrobinę manioku i trochę fasoli. To będzie cała ich wieczerza wigilijna. Jest mi ich serdecznie żal, są na pewno głodni. O tej fasoli będą do jutra do wieczora!

Po południu nasz dom „okupują” Siostry Misjonarki. Wieczerza będzie wspólna. Wprawdzie Salwator sprzątał całe pół dnia, ale S. Julianna wygarnęła dużo śmieci, które nasz porządkowy pozmiatał pod szafy. S. Julianna upomina go i tłumaczy, że przyjdą goście, jakże on mógł śmieci

pod szafami zostawić. Na to Salwator, z polską nazwą „Kajtek” miał podobno powiedzieć: „Oby żółta febra wybiła takich gości, którzy w domu gospodarza pod szafy zagląдают”. Nie słyszałem tego osobiście, opowiadałam o tym na odpowiedzialność s. Julianny.

Ubieramy wszyscy białe habity. Brat Marceli przygotowuje choinkę. Naszą jodłę z powodzeniem zastąpiła araukaria. Śliczne szpilkowe drzewo, ale kole niczym jałowiec. Libertus i Salwator, gdy zobaczyli udekorowaną choinkę, cieszą się jak dzieci, klaszczą w dłonie i gdyby było więcej miejsca wykonaliby taniec Watusi. Było już ciemno, gdy z Mpinga przyjechali oczekiwani goście. O. Teofil Kapusta, O. Sylwan Zieliński, O. Eliaz Trybała, O. Jan Wołek, O. Klaudiusz Spyrka. Przyszła również s. Zygmunta z pozostałymi siostrami.

Wieczereż zaczęliśmy wspólną modlitwą. Przełożony Misji składa życzenia O. Prowincjałowi i mnie, jako opiekunowi misji. W gorących słowach dziękuje również wszystkim zelatorom poszczególnych domów w Polsce i Przyjaciołom naszej afrykańskiej misji. „Jeżeli coś dobrego mogliśmy zrobić, jeżeli mogliśmy kogoś uratować przed śmiercią głodową, to tylko dzięki Waszej pomocy materialnej, dzięki Waszym modlitwom, dzięki Waszemu poświęceniu”.

Z kolei zabiera głos O. Prowincjał i jak zawsze, tak i teraz w serdecznych, a w głębokich słowach życzy Ojcom i Siostram pomyślnych wyników w pracy misyjnej oraz tego wewnętrznego rozradowania z dobrze wykonanego obowiązku, bo kiedy serce człowieka wypełnione jest po brzegi radością, wówczas gotowi jesteśmy to serce otwierać i z wszystkimi dzielić się tym, co najdroższe. A, że nie ma na ziemi nic droższego nad chleb – więc dzieli się chlebem – opłatkiem. Opłatek, to znak rozradowania wewnętrznego i znak otwartego serca. „Oby Drogie siostry Misjonarki i ojcowie Misjonarze mieli zawsze otwarte serca na potrzeby naszych Czarnych Braci” zakończył O. Prowincjał.

Potem zabrzmiała kolęda. Tradycyjna „Wśród nocnej ciszy”, i zasiedliśmy do kolacji. Libertus i s. Julianna współzawodniczyli dziś między sobą w sztuce kulinarnej. Najpierw był barszcz czerwony, polski barszcz z uszkami. Dzieło naszej s. Julianny. Potem przyszła kolej na Libertusa. Postawił przed nami afrykańskie danie: ybiraya i amaszczu, czyli młode kartofle i tamtejszą kapustę, ale jak przystało na Afrykanina, zamiast karpia, dzwonki pieczonego węża. I kapusta i ziemniaki i pieczeń były tak wspaniale przyrządzone, że gdyby nie względy przyzwoitości i maniery dobrego wychowania, poprosiłbym o repetę. Potem s. Julianna podała kapustę kiszoną z polskim „Jaśkiem”, a Libertus popisał się znakomitym omletem z „solanum antropophagorum”. Polska nazwa „Solanum” jest o wiele łatwiejsza do zapamiętania. Jest to zwyczajna „sałatka ludożerców”. Proszę się jednak nie przerażać. Od 70 lat nie zjedzono w Burundi białego. Dawniej służyła jako przyprawa do kotletów z ludzi. Czarny, owszem padnie i dzisiaj ofiarą dawnych nawyków, ale białych jest stanowczo za mało w Burundi. Rośnie sobie zatem to trawsko, a starzy Murzyni spoglądając melancholijnie na sałatkę powiedzą między sobą: „i cóż z tego, że sałata rośnie, skoro kotletów brak!”.

Z dawnego ludożerstwa pozostały jednak reminiscencje, bo s. Zygmunta nie raz już słyszała, jak skarżyli się chorzy, że boli go „prawa pieczeń” lub „połędwica”.

Było i różnorakie pieczywo, a na deser wspaniałe owoce. Pieczona passiflora o delikatnym, kwaskowym smaku i królewski owoc: mango, tak soczysty, że należy go jeść w wannie, - potem papaje o smaku terpentynowym, bardzo cenione na stołach białych, gdyż po zjedzeniu kilku plasterków tego owocu, odczuwa się subtelny apetyt (papaja zawiera duże ilości pepsyny). Maleńkie jak paluszki banany i podobne do naszych pomidorów, japońskie śliwki, pomarańcze...

Nie brakło też napitków. Było podwójne afrykańskie „pombe”. Jedno z bananów, drugie z sorgo. Czarni jedno i drugie piwo piją wprost z tykwy. Ja jednak wolałem widzieć co piję, więc poprosiłem o szklankę. To piwo z bananów przypominało odrobinę kwas chlebowy, z sorgo natomiast - wigilijny żur, albo rozpuszczony krochmal z małą domieszką cytrynowego kwasku.

Po dziękczynnej modlitwie, kolędy z płyt. Ojcowie z Mpinga musieli wrócić przed 12.00, a ja próbowałem zasnąć. Ale jak tu spać, kiedy przed oknem śpiewa i tańczy 1.000 Czarnych!

Płonęło ognisko, a właściwie olbrzymi stos eukaliptusowego chrustu. Nieśmiało zrazu płomienie zaczęły coraz wyżej wstępować w granatowe niebo. Wokół roztaczał się aromatyczny zapach, niby woń drogocennego kadzidła, bo eukaliptus zawiera ogromną ilość olejku eterycznego.

Pytam naszego katechistę Saturnina:

- Czy zawsze w Noc Bożego Narodzenia palicie ognisko?
- Tak!
- Dlaczego?
- Aby ogrzać Dzieciątka w Betlejem. Tam jest zimno!

Wzruszyła mnie do głębi ta pełna prostoty odwiedź. Byłem zawstydzony dziecięcą wiarą naszego katechisty, który tu pod Równikiem zbierał nocą eukaliptusowy chrust, by Jezusowi było ciepło w zimnej betlejemskiej stajence.

Jakże czarowna jest Bożonarodzeniowa Noc. Wokół ogniska wszyscy tańczą. Zdolność do tańca jest człowiekowi od początku wrodzona. Gdy pierwszy człowiek nie potrafił odpowiednio zmanifestować swoich uczuć, czy to względem Boga, czy sił natury, czynił to za pomocą tańca. Taniec był i jest czynnikiem wywołanym przez radość i wywołującym radość. Same dłonie składają się do oklasków na widok niezwykłych ewolucji tanecznych. Jak potrafią Boga wielbić tańcem, miałem dopiero przekonać się parę chwil później, w kaplicy.

Ale oto Ingoma Ntare, czyli Tam-Tam Królewski (taki miejscowy „dzwon” od wielkiego święta) wzywa wszystkich do kościoła. Natychmiast milkną śpiewy, przygasa ognisko i w głębokim skupieniu udajemy się do kaplicy, która na tę noc jest specjalnie iluminowana przez naszego „drucika” czyli O. Józefa. Dyskretnie poumieszczone kolorowe żarówki sprawiły, że zwyczajna eukaliptusowa konstrukcja dachowa i trzciniowa strzecha wyglądają jak barwne stalaktyty. Bukszpanowe festony, bajecznie kolorowa szopka z Bożym Dzieciątkiem, oczarowały wszystkich. W szczególniejszy sposób zachwycone są dzieci. Każdy Murzynek chce ucałować Białego Jezuska. Bezceremonialnie biorą Go ze Żłóbka, ściskają w niedomytych dłoniach, przytulają do umorusanych buzi, wnet więc Biały Jezusek stał się czarny jak one, a po paru chwilach nie miał ani główki ani nóżek. Koniec „adoracji”. Przyspieszyła Msza święta. S. Zenobia zna tutejsze zwyczaje. Miała przygotowane „awaryjne” Dzieciątka, ale już umieściła je tak wysoko, że nawet najwyższe Murzyniaki nie mogło dosięgnąć. Wyszła Msza.

Na Introit kolęda w rytmie naszej „Przystąpmy do szopy, uściskajmy stopy” z łacińskim motywem: „Gloria, gloria in excelsis Deo”. Piękna tej kolędy nie potrafię opisać. Dotąd byłem przekonany, że kolędy najpiękniej śpiewają w Polsce. Dziś jestem w rozterce, komu przyznać pierwszeństwo. Nie wystarczy zanotować dźwięki, konieczne trzeba je usłyszeć w miejscowym wykonaniu przy akompaniamencie tutejszych instrumentów muzycznych. W czasie Mszy – homilia. Nie długa. Matki tym razem nie szczypały dzieci. Nie wiem, czy już w poprzednich relacjach pisałem, że w Burundi jest taki niepisany zwyczaj, który pozwala kaznodziei wcześniej skończyć homilię. Gdy ksiądz – jak się to mówi „nie może trafić do królestwa niebieskiego” – matki dość bezceremonialnie podszczypują swoje pociechy i w kościele rozpoczyna się taki koncert, że kaznodzieja chcąc nie chcąc musi kończyć homilię.

Wprawdzie jestem w koncelebrze, ale bacznie obserwuję cały kościół. Widzę, jak Saturninus, który jest takim honorowym kościelnym w Musongati, zbiera kolektę. Od czasu do czasu spadnie jednofrankowa moneta, przeważnie jednak dają po parę ziarenek fasoli. Widzę, jak matka daje na pół ogryzionego banana, którego trzymało w buzi małe Murzyniaki. Przy szopce, jako dar dla głodnych widzę również fasolę, groszek, banany, maniok...Wzruszające! Ci, którzy sami niewiele posiadają, dzielą się z tymi, którzy nie mają nic.

Po ofiarowaniu taniec liturgiczny. Najpiękniejsze dziewczęta, w najpiękniejszych narodowych strojach, w takt tam-tamów, tanecznym krokiem, z gestami pełnymi szacunku i oddania, hołdu i miłości podchodzą do ołtarza, na którym symbolicznie składają własne serca. Siebie samych jako dar. Scena była tak wzruszająca, że teraz kiedy te słowa piszę, mam łzy w oczach.

Ale Msza postępuje dalej. Dotychczas nie miałem jeszcze trudności w liturgii miejscowej, gdyż byłem tylko widzem. Z niepokojem czekam na Modlitwę Eucharystyczną. Po Prefacji miejscowy – Trisagion: Mutagatifu! Mutagatifu! Mutagatifu! Mukama Nana y Ingabo! Święty, Święty, Święty Pan Bóg Zastępów.

Drugi kanon i oto po raz pierwszy na moje słowa wypowiedziane w języku rodzimym moich Czarnych Braci: „IKI N’UMUBIRI WANJE UZA GUTAGWA KU BANYU” - Pan zstępuje na ołtarz! Po Komunii świętej, która trwała więcej jak godzinę, chociaż rozdawaliśmy we trójkę, dziękczynienie. Najpierw modlitwa Didache w kirundi, a potem dziękczynny taniec. Inna grupa

dziewcząt z innego szczepu, a więc inaczej ubrana, radośnie płąsa. Mimo woli przypomina mi się król Dawid tańczący przed Arką!

Po Mszy, długo w noc rozbrzmiewają kolędy, ale, że o jedenastej czeka nas druga koncelebra w odległej Mpinga, więc próbuję zasnąć. Ognisko powoli wygasa. Ci, którzy bliżej mieszkają, wracają do swoich inzu, ci z dalszych stron, kładą się do snu na pachnącej stepem trawie, którą wczoraj troskliwie „Umugabo” zaścieliły sale szkolne i katechumenat.

Krzyż Południa także powoli gaśnie, a mnie kleją się oczy i zasypiam, tym bardziej, że „drucik” wyłącza agregator. A więc dobranoc moi Przyjaciele w dalekiej Polsce.

O. Bogusław Woźnicki

Burundi 1975

Drogi Ojcie Albinie!

Na samym wstępie najserdeczniej pozdrawiam O. Zelatora i dziękuję za pomoc, jaką przez ręce Ojca otrzymuje Burundi. Przy tej sposobności dziękuję również wszystkim innym ojcom zelatorom misyjnym oraz tej bezimiennej rzeszy współpracowników, dzięki którym, jak to powiedział wczoraj w Musongati O. Teofil, nasi ojcowie Misjonarze nie głodują. Co więcej, mogą nawet z innymi podzielić się, nie tylko kromką chleba, gdyż chleb jest nie znany w Burundi, ale raczej workiem tapioki lub mąki kukurydzianej.

Po tygodniowym pobycie w Musongati, przenoszę się dzisiaj rano do Mpingi. Jest to nasz główny dom, gdzie urzęduje Wikariusz Prowincji, Przewielebny O. Teofil Kapusta. Przełożonym domu jest W. O. Sylwan Zieliński. Ekonom W. O. Klaudiusz Spyрка. Jest tu także O. Jan Wołek i O. Elias Trybała. Obsada, jak widzimy, dobra.

Odległość od Musongati w linii powietrznej 10 km, ale chcąc dostać się z Musongati do Mpinga trzeba zjechać w dolinę rzeki Myamabuye przeszło 1.000 m. A więc zjeżdżamy. Ustawicznie w dół. Spadki drogą są tak niespodziewane, drogi tak przepaściste, że chciałoby się, by nas Volksvagen miał również i skrzydła i rozwijał je przy zjeździe. Często się zdarza, że małpy wieczorem – ot, tak dla zabawy – wykopią przez całą szerokość drogi rów. W nocy pada deszcz, kierowca myśli, że to „normalna” kałuża, którą łatwo przeskoczy, a tymczasem czuje, że przednie koła w pułapce, a karoseria osiadła na szosie! W porze deszczowej są również niebezpieczne, wiszące nad drogą skały, które w każdej chwili mogą zatarasować drogę, a przy okazji z Volksvagena zrobić „harmonijkę”.

Mostki – przeważnie drewniane – zamiast się wspierać na filarach, stoją na „słowie honoru!”. Oprócz tego nigdy się nie jest pewnym, czy tej nocy termity nie miały tutaj biesiady! Nie rzadko, tam, gdzie się przejeżdża w bród, trzeba po ulewie poczekać parę godzin, aż woda opadnie! Tym razem wszystko było w normie. Termity nie zjadły żadnego mostu, rzeka po wczorajszej ulewie opadła, nie było małpich pułapek na szosie, wszystkie skały twardo trzymały się gruntu, więc bez specjalnych przeszkód posuwaliśmy się naprzód.

Lasów nie ma. Od czasu do czasu spostrzegam kępy zieleni. Interesująco wyglądają rzadkie w tym kraju baobaby, oplecione gęstymi korzeniami rododendronów. Miałem ochotę taki baobab zobaczyć z bliska, ale ostrzegł mnie O. Józef, że prawie w każdym baobabie mieszka czarownik, z których słynne jest Burundi i nie wiadomo, jakby zareagował na naszą wizytę. Gdzie ziemia żyźniejsza, rosną kępy afrykańskich mirtowców. Dość często na tej wysokości (900 m.n.p.m.) spotykamy figowca i znane nam w Polsce fikusy, które tutaj dochodzą do 40 metrów wysokości. Z kory fikusów szyją sobie tutejsze elegantki sukienki. Szorstkie to i ostre jak włosienica, ale odpowiednio wyprawione, wdzięcznie się nosi. Np. Masajowie, szczep zamieszkujący pogranicze Burundi i Tanzanii nosi ubrania tylko z kory fikusa.

Kilka kilometrów droga biegnie równoległe z korytem rzeki Nyamabuye. Płynąc leniwie, tworzy liczne rozlewiska, z których wystrzelają ponad wodę wyniosłe papirusy. W Europie rosną tylko w doniczkach, tutaj osiągają imponującą wysokość. Tubylcy sporządzają z nich bardzo lekkie, niezatapialne łodzie. Bylinę tę, należącą do tropikalnej flory bagiennej, uprawiali już Egipcjanie,

którzy z rdzenia jej czterometrowych pędów sporządzali papirus, sklejjąc świeżo pokrojone paski rdzenia i susząc je. Trwałość papirusu jest prawie niezniszczalna! Z włókien łądyg wyrabia się liny i maty.

Inną osobliwością terenów, przez które prowadzi droga, to paprocie – drzewa. Wyglądem swoim przypominają trochę palmy, a trochę nasze przydrożne wierzby. Zerwany przeze mnie liść paproci nie mieści się wewnątrz samochodu!

Mijamy małą miejscowość Ngara. Droga zaczyna się wznosić w górę. W pewnym momencie przejeżdżamy przez dorodny las szpilkowo-eukaliptusowy. „To protestancka misja” – objaśnia O. Józef. Protestantów w Burundi jest ponad 170 tys. Misje bogate, bo subsydiowane przez protestantów szkockich. Misjonarze, tak nasi jak i protestanci zawsze sadzą las wokół swojej misji. Można nie zauważyć zabudowań, ale jak się widzi las, można być pewnym, że trafiło się na misję! Ta, którą mijamy, powstała jeszcze przed wojną światową. Jest doskonale zagospodarowana, posiada własną elektrownię, doskonałą źródlaną wodę, szkoły, warsztaty, szpital, ośrodek socjalny!...

Ale oto jesteśmy już w Mpinga. Misji naszej nie widzimy – jest schowana w cieniu olbrzymich eukaliptusów. Widać natomiast olbrzymi eukaliptusowy Umusaraba – krzyż, postawiony parę miesięcy temu przez brata Sylwestra. Osiągnęliśmy imponującą wysokość – 2.065 metrów n.p.m.

Jak na dłoni widać Musongati. W prostej linii 10 km, ale licznik mówi, że przejechaliśmy 54 km. Stajemy na chwilę. Nie mogę nasycić oczu fantastycznym widokiem, który się przed nami roztacza. Przed oczyma wspaniała równina, przecięta meandrami granicznej rzeki Malagrazari. Nie dymi tu żaden komin fabryczny, nie ma spalin samochodowych, więc powietrze jest kryształowo czyste. I chyba ta przejrzystość sprawia, że wszystko jest zarazem bliskie i niedosięgłe, rzeczywiste i nierealne. Mimo woli przypomina się Góra Nebo, skąd Mojżesz oglądał Ziemię Obiecaną i Góra Kuszenia, z której widać było wszystkie królestwa świata!

Byłem w Salzkammergut, z Wild Kaiser podziwiałem panoramę Alp, byłem na szczytach naszych Tatr, ale to co teraz oglądam zatyka dech w piersiach i wprawia w zachwyt, że chcę śpiewać:

„Wielbijcie Pana, wy ziemie i morza –
wy krasne kwiaty i ptaszęce chóry –
źródła wód żywych, błękitne przestworza –
wy lasy sine i podniebne góry!”

Z tej odległości Kilimandżaro rzeczywiście nie widać, ale na horyzoncie rysuje się drugi, co do wysokości, afrykański szczyt: Honago.

Jeszcze jedno skrzyżowanie, potem długi odcinek szerokiej drogi i jesteśmy na miejscu. Na spotkanie wychodzi cała brać misyjna. Pół godziny później przyjeżdża również O. Prowincjał, przebieramy się w białe habity i udajemy się do kościoła, bo wierni już czekają.

Kościół nie odznacza się jakąś wyjątkową architekturą. Jest jednonawowy, z metalową konstrukcją dachową, ołtarz widoczny ze wszystkich stron. Przy ołtarzu aż dziewięciu kapłanów. Mpina jeszcze nigdy tylu białych księży nie widziała! Jest jeszcze dziesiąty – nasz Brat Inżynier – Marcelli! Ubrany w albę pełni obowiązki lektora!

Śpiewy liturgiczne i miejscowe kolędy wypadły jeszcze wspanialej, jak wczoraj w Musongati. Parafianie chcieli się popisać przed „ważnymi osobistościami,” tak nas swoim parafianom przedstawił O. Teofil.

Prezbiterium wypełnione czarną służbą ołtarza! Ministranci na bosaka, ale ślicznie im w śnieżnobiałych komeżkach i złocistych kapturkach. Obok prezbiterium ze sztandarami stoi Legion Maryi. Jakże urodziwe są tutejsze dziewczęta, jak przystojni czarni chłopcy! Rośli jak eukaliptusy, smukli jak seye! Moi Czarni Bracia nie mają mi chyba za złe, że ich bacznie obserwuję. Urzeka mnie ich wiara, która promieniuje z ich postawy. Jest w nich jakaś świeżość, żarliwość. Są dumni z tego, że należą do Kościoła katolickiego!

Msza święta w miejscowym języku. Obok ołtarza stoją Tam-Tamy. Zainteresował mnie szczególnie jeden. Większy jak inne. Przystrojony czerwono-złotymi szarfami. To Ntare-Ingoma, Tam-tam Królewski. Kiedyś, gdy krajem rządził król, ten tam-tam odzywał się tylko wówczas, kiedy monarcha zjawiał się w wiosce. Obecnie Ntare-Ingoma należy do inwentarza kościelnego. Odzywa

się na Przeistoczenie Chleba i Wina. Wszystkim wówczas wydaje się, że do świątyni wkracza Król! Na moment świątynię zalega przenikająca cisza. Milkną nawet wiecznie zapłakane dzieci. Mnie, w tym momencie, przypominają się słowa Liturgii Bożego Narodzenia: „Dum medium silentium omnia tenerent, Omnipotens Sermo tuus a regalibus sedibus venit! Gdy wszystko było pogrążone w głębokim milczeniu, wszechmocne Słowo Twoje z wysokości niebios zstąpiło na ziemię!...

Po Mszy św. zaproszenie na akademię ku czci Gości z Polski. Przed tym jemy obiad. Bardzo skromny. Gotują Czarni. Potrafią nawet smaczną potrawę tak przyrządzić, że trzeba dużego umartwienia, by ją jeść. Dziś czekała nas niespodzianka. Ekonom misji, O. Klaudiusz ogłosił wszem i wobec, że będzie comber z gazeli, takiej afrykańskiej sarny. Z trudem dała się kroić ta „gazela”. Susząca się skóra ze starej kozy wyjaśniła, że była to kozina, a nie comber z gazeli.

Przypomniała mi się wówczas historia z obozu w DiPi w Gancker. Mieszkaliśmy tam razem z Włochami i Jugosłowianami. Włosi lubią bardzo carne de vitello, czyli cielęcinę. Oddawali za nią nawet unrowskie „Camele”. Ale w końcu brakło cieląt, a Włosi dopraszali się mięsa. Wobec tego zaczęły ginąć w okolicy koty. Trwało to dość długo i sympatyczni „Italiańcy” zamiast carne de vitello, zjadali się carne de gattion – kociną! Dopiero suszące się w polskim sektorze kocie skóry, zdemaskowały Polaków. Była potem jakaś awantura, nie tyle z Włochami, ile raczej z Niemkami, gdyż w całej okolicy wyginęły koty. Sprytni Polacy łapali je na walerianę!

Na akademię składały się przemówienia, tańce poszczególnych szczepów, improwizowane piosenki. I przedstawienie! Obrazujące przyjazd nowych misjonarzy do Burundi...

Potem obowiązkowa sješta. Do godziny trzeciej białemu nie wolno bezkarnie wychodzić na słońce, chociażby nawet w tropikalnym hełmie. Jest to czas jasnego blasku i milczenia. Afryka aż bieleje z żaru. Milkną nawet wiecznie rozgadane remizy na wysokim eukaliptusie.

Gdy słońce nachyliło się ku zachodowi, wyszliśmy do ogrodu. Jest piękniejszy niż Ogród Botaniczny we Wrocławiu! Obok kościoła kwitną dwie wspaniałe agawy – sizale. W Burundi tę roślinę uprawia się na skalę przemysłową. Dostarcza cennego surowca eksportowego: sizalu. Tu na misji rośnie dla ozdoby. Bo też prezentuje się wspaniale. Oliwkowo-zielone liście mają żółto-białe obrzeżki. Sizal kwitnie raz w życiu: w Europie po 50 latach, w Afryce po 8 latach. Wystrzela wówczas ze środka wysoka na 8 metrów łodyga pokryta tysiącem kremowych kwiatów. Po opadnięciu kwiatów na potężnej łodydze, która zmagazynowała parę wiader wody, wyrastają młode agawki i strącone za ziemię szybko ukorzeniają się.

W pobliżu lasu, rośnie kępa bambusów, łodygi o przekroju 20 cm wystrzelają na wysokość 40 metrów. Młode pędy zastępują na stole afrykańskim europejskie szparagi. Bambus jest odporny na termyty, dlatego jest bardzo poszukiwany i niszczony przez czarnych. Piękną naturalną altanę tworzy zwisająca w amarantowych kwiatach Boungainwilea. Nie znam polskiej nazwy tej rośliny. Posiada kwiaty podobne do ozdobnego groszku. Z daleka wyglądają jak stado barwnych motyli.

Obok bambusów rośnie drzewo, podobne do naszego kasztanowca o kwiatach przypominających kielichy lilii. Świeżo rozkwitłe pachną przyjemnie, przekwitłe cuchną jak zdechły kot.

W ogrodzie warzywnym widzę dojrzałe pomidory, japońskie śliwki, ananasy, kapustę, fasolę szparagową, słodki groszek i różne odmiany afrykańskich sałat łącznie z „Solanum antropophagorum”, bo ta, pomimo swej nie bardzo chlubnej przeszłości jest bardzo smaczna, podobnie jak niektóre gatunki jadalnej opuncji.

Rosną drzewa mangowe o liściach tak zwartych, że nie przepuszczają ani promyka słońca, papaje, figowce, polskie maliny, poziomki.

Wszystko to okolone jest naturalną „zeribą”, płotem aloesowym. Ten płot jest tak szczelny, że nawet wąż przez niego nie prześlizgnie się.

Ogród kwiatowy pyszni się różnokolorowymi gerberami, polskimi astrami, lwimi paszczkami, fuksją, afrykańskimi fiołkami. Tak trochę na pół dziko rosną kany, dalie, irysy, werbeny i wiele, wiele innych kwiatów, których nazw nie pamiętam ani nie znam. Widzę je po raz pierwszy w życiu. Oprócz eukaliptusów, afrykańskiej sosny, różnych cyprysów, rośnie afrykański świerk zwany araukarią. Podziwiam śliczne, różne piętra gałązek. Naprawdę piękny jest ten misyjny park!

Podziwiam też pracowitość O. Teofila, który pomimo rozlicznych zajęć, znajdzie zawsze czas dla kwiatów!

Dom misjonarzy nie nadzwyczajny. Tak budowano 50 lat temu. Najstarsza część domu, obecnie

przeznaczona dla gości, budowana z cegły suszonej na słońcu. Reszta z kamienia, którego tu nie brakuje i z palonej cegły.

Na tę najstarszą część misji przypuściły atak termity. Za jedną noc wyniosły ścianę działową. Jest ich tak dużo, że nikt nie odważy się z nimi walczyć za pomocą DDT. Strujesz milion, co ta jest wobec miliarda! Zresztą matka termitów składa w ciągu doby 100.000 jaj! Nie ma więc sposobu na wyludnienie kopca termitów!

Przed zapadnięciem nocy przyjechali do nas dwaj ojcowie Biali, zapaleni myśliwi. Zapraszają mnie na polowanie na antylopy. Nie lubię rozlewu krwi, ale na tę wyprawę miałem ogromną ochotę. Tam, gdzie są antylopy i gazy lubi polować lew, a miałem ogromną ochotę spotkać się (z bezpiecznej odległości) z królem zwierząt. Wzgląd na dzisiejsze Święto, które od lat najmłodszych zapamiętałem jako największe, bo nawet izby nie wolno było zamiatać, zrezygnowałem. Zamiast na antylopy, wybrałem się na storczyki, a po komplecie udałem się na spoczynek. Wczorajsza nie przespana noc sprawiła, że we śnie nie przeszkadzały mi ani moskity, ani ćmy, ani wieczorny koncert afrykańskich ptaków.

Było już dobrze po północy, gdy posłyszałem dziwny grzmot, coś jakby start gigantycznego odrzutowca, potem nie dające się wyrazić słowy stękania albo przerywane jęki jakiegoś niezwykle olbrzyma i nagle zakołysał się dom! Ze ścian poleciał tynk, z umywalki spadł z łoskotem flakon z rozkwitłym storczykiem!

Jezus Maria! Trzęsienie ziemi! Tak, to było trzęsienie ziemi! W mgnieniu oka oceniłem sytuację: domek parterowy z gliny, zamiast sufitów – bananowa mata, mogą mi spaść na głowę najwyżej wiązania dachowe. Poleciwszy duszę Bogu, nakryłem głowę kołdrą. Po kilkudziesięciu sekundach, które zdały się wiecznością, grzmot zaczął się oddalać, ziemia przestała drżeć, ale serce nie przestało kołatać! Jakiś niewytłumaczalny strach przeniknął mnie do głębi, poczułem się tak słaby, że nie byłem w stanie uczynić żadnego ruchu, coś jakby prąd elektryczny obezwładniło moje mięśnie i sparaliżowało nerwy! Do rana nie zmrużyłem oka. „W Burundi trzęsienie ziemi, to zwyczajna rzecz” – uspokajali mnie ojcowie, można się do tego przyzwyczaić, to nie pierwszy raz.

Nikomu nie przyznałem się, że jadąc do Burundi, między innymi miałem i to pragnienie, aby przeżyć trzęsienie ziemi, takie niewielkie, powiedzmy 4 stopnie w skali Richtera. Ale myślałem sobie: gdzieżby dobry Bóg spełniał takie głupie zachcianki! A jednak! I jestem Bogu za to ogromnie wdzięczny, bo nigdy jeszcze, nawet w czasie burzy na Morzu Śródziemnym, nie odczułem tak jak tej nocy swojej małości wobec potęgi Boga-Stworzyciela! W Polsce – drugi Dzień Świąt, tu w Burundi – zwyczajny dzień pracy. Murarze przyszli do roboty. Po Mszy wybieramy się do Tailles de Nuakazu i do Chtes de Shanga. Są to dwie osobliwe atrakcje turystyczne. Wodospady Shanga i potężne wąwozy Nuakazu.

Opowiem o nich po powrocie.

Raz jeszcze Drogiego Ojca pozdrawiam i szczęśliwego Nowego Roku życzę.

O. Bogusław Woźnicki